W. SOMERSET-MAUGHAM

SAMOTNE DUSZE

TOM II

TORUŃ
BIBLIOTEKA GAZETY POMORSKIEJ

SAMOTNE DUSZE

BIBLIOTEKA GAZETY POMORSKIEJ
pod redakcją
ALFONSA WŁADYSŁAWA KRAUSE

ROK II TOM 16

Luty — 1939 r.

**Bezpłatny dodatek dla prenumeratorów
Gazety Pomorskiej Wyd. K.**

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI
Toruń, ul. Bydgoska 56, tel. 2990 i 2970

W. SOMERSET-MAUGHAM

SAMOTNE DUSZE

TOM II

TORUŃ
BIBLIOTEKA GAZETY POMORSKIEJ

Przekład autoryzowany
J. SUJKOWSKIEJ
Tłoczono w Zakł. Graf.
„Drukarnia Banko-
wa", Warszawa,
Moniuszki
Nr. 11.

—

Odbito z części nakładu „Biblioteki Groszowej"

— Ściśle biorąc — rzekł do niej w trakcie jednej z rozmów — Anglja jest dla mnie obcym krajem. Moja ojczyzna to Sembulu.

A teraz ona znalazła tu również ojczyznę. Oświadczył jej się pod koniec miesiąca. Wiedziała, że się na to zanosi, i postanowiła dać mu kosza. Była jedyną córką samotnej wdowy i nie mogła odjeżdżać tak daleko od matki. Jednakże w decydującym momencie straciła głowę. Porwał ją przypływ niespodziewanego wzruszenia, i została jego narzeczoną. Od czterech miesięcy mieszkali na małej stacji, która znajdowała się pod jego zwierzchnictwem. Doris była szczęśliwa w całem tego słowa znaczeniu.

Zwierzyła mu się, że była zdecydowana dać mu kosza.

— Czy żałujesz, żeś tego nie zrobiła? — zapytał z wesołym błyskiem w śmiejących się oczach.

— Musiałabym być chyba warjatką! Co to za szczęście, że traf, czy przeznaczenie, czy cos takiego zainterwenjowało w ostatniej chwili i wytrąciło mi decyzję z ręki!

Usłyszała, że Guy zbiegł po schodach do łazienki. Jakiż on hałaśliwy nawet „na bosaka"! O, teraz wydał jakiś okrzyk i powiedział kilka słów w miejscowem narzeczu, których nie zrozumiała. Ktoś odpowiedział mu świszczącym szeptem. Jacy ci ludzie nieznośni! Nie dadzą mu się nawet wykąpać. Rzucił coś w odpowiedzi, i chociaż mówił cicho, zauważyła, że jest wzburzony. Drugi głos zabrzmiał donośniej niż początkowo. Był to głos kobiety. Doris zrobiła

przypuszczenie, że pewnie przyszła ze skargą. Kobiety malajskie lubią napastować. Ale widocznie nic nie wskurała, bo Guy kazał jej odejść. Doris zrozumiała jego ostatnie słowa. Usłyszała też, jak zamykał drzwi. Usłyszała plusk wody — ach, ta zabawna łazienka pod sypialnią z wielką kadzią i małym blaszanym kubełkiem do urządzania pryszniców! — i za minutę Guy zjawił się w jadalni. Włosy miał zupełnie mokre. Zasiedli do stołu.

— Jak to dobrze, że nie jestem ani podejrzliwa, ani zazdrosna — zawołała ze śmiechem. — Bo inaczej zrobiłabym ci scenę o to, że flirtujesz z tutejszemi damami, i to gdzie? W łazience.

Twarz młodego człowieka, zazwyczaj taka ożywiona, w chwili, gdy wszedł, uderzała posępnym wyrazem, który pierzchnął dopiero po żartobliwych słowach żony.

— Gdzież tam. Nierad byłem, że mi zaszła drogę.

— Tak. Rzeczywiście. Mówiłeś gniewnym tonem. Może nawet za gniewnym

— Zirytowała mnie zuchwałość tej kobiety.

— Czego ona od ciebie chciała?

— Nie wiem. To kobieta z kampongu. Pokłóciła się z mężem, czy coś takiego.

— Ciekawa jestem, czy to ta sama, która kręciła się z rana koło domu?

Zmarszczył brwi.

— Czy tak?

— To było tak. Poszłam do twojej garderoby

zobaczyć, czy wszystko jest w porządku, a potem zeszłam do łazienki i zobaczyłam, że przed drzwiami stoi jakaś kobieta.

— Czyś z nią rozmawiała?

— Zapytałam, czego sobie życzy, ale nie zrozumiałam jej odpowiedzi.

— Nie pozwolę, żeby mi się tu włóczyły różne podejrzane indywidua — rzekł. — Do czego to podobne? Powiedz sama!

Uśmiechnął się jak zwykle, ale ona z właściwą zakochanej kobiecie spostrzegawczością zauważyła, że uśmiechnął się tylko ustami, a nie oczami. Zadała sobie pytanie, czy nie spotkała go jakaś przykrość.

— Co robiłaś dziś rano? — zapytał.

— O, prawie nic. Byłam na małym spacerze.

— W kampongu?

— Tak. Widziałam, jak jeden z wieśniaków kazał trzymanej na łańcuszku małpie wejść na drzewo po kokosowe orzechy. Och, jakież to było zabawne!

— Śmiałaś się, malutka?

— I wiesz, Guy, tej małpie przyglądali się dwaj chłopcy, dużo bielsi od swoich towarzyszy. Pewnie byli pół krwi. Odezwałam się do nich, ale nie rozumieli ani słowa po angielsku.

— W kampongu jest kilkoro dzieci pół krwi — odpowiedział.

— Czyje to są dzieci?

— Pewnej dziewczyny z wioski.

— A kto jest ich ojcem?

— O, moja droga, niebezpiecznie jest zadawać

tutaj tego rodzaju pytania. — Urwał i ciągnął dalej: — Wielu białych bierze sobie prowizorycznie za żony miejscowe dziewczęta. Później, kiedy wracają do kraju lub żenią się, obdarowują je mniej lub więcej hojnie i odsyłają do rodzinnych wiosek.

Doris milczała. Obojętny ton jego słów wydał jej się trochę rażący. Jakiż on nieczuły! Odpowiedziała mu z wyrazem dziwnej surowości na otwartej, szczerej, ładnej angielskiej twarzyczce.

— A co z dziećmi?

— Z pewnością nie dzieje im się krzywda. Każdy ojciec stara się wedle możności o zapewnienie im odpowiedniego wykształcenia. Chłopcy dostają potem rządowe posady, i dobrze im się dzieje.

Uśmiechnęła się trochę żałośnie.

— Nie uda ci się wmówić we mnie, że to jest dobry system.

— Nie trzeba sądzić za surowo — odrzucił również z uśmiechem.

— Nie jestem surowa, ale cieszę się, żeś ty nie miał nigdy takiej malajskiej żony. Jakieby to było okropne, gdyby ci dwaj malcy byli twoimi synami.

Służący zmienił talerze. Menu młodej pary nie odznaczało się rozmaitością. Zaczynali lunch od ryb rzecznych, niesmacznych i jałowych, tak, że spożycie ich z pewnym smakiem wymagało dużej ilości sosu pomidorowego. Na drugie danie mieli zazwyczaj jakieś mięso. Guy podał żonie sosjerkę.

— Stary sułtan uważał, że ten kraj nie nadaje się dla białych kobiet — zauważył. — I nawet za-

chęcał białych przybyszów do... takich kolorowych małżeństw. Naturalnie teraz stosunki uległy zmianie. Niema żadnych buntów, żadnych zamieszek, i nauczyliśmy się walczyć z klimatem.

— Wiesz, Guy, starszy z tych chłopców miał jakieś siedem—osiem lat, a młodszy około pięciu.

— Na stacji w głębi dżungli żyje się człowiekowi straszliwie samotnie. Często przez pół roku nie widzi się białej twarzy. I dostaje się stanowisko w wieku nieledwie chłopięcym.

Posłał jej swój czarujący uśmiech, pod którego wpływem jego pucołowata, pospolita twarz ulegała istnej metamorfozie.

— Widzisz, są okoliczności łagodzące.

Nie mogła się nigdy oprzeć jego uśmiechowi. Był to jego najlepszy argument. Oczy jej stały się zpowrotem łagodne i serdeczne.

— No, naturalnie.

Wyciągnęła rękę przez mały stół i położyła ją na jego dłoni.

— Cieszę się, że spotkałeś mnie w tak młodym wieku. Szczerze mówiąc, zmartwiłabym się bardzo— och, Boże! — gdybym się dowiedziała, że i ty żyłeś w taki sposób.

Ścisnął ją za rękę.

— Czy jesteś szczęśliwa, najdroższa?

— Bez miary.

W płóciennej sukience wyglądała świeżo i rześko. Upał nie odbijał się ujemnie na jej wyglądzie. Umiała go znosić. Uroda jej była właściwie tylko wdziękiem

młodości, chociaż piwne oczy zasługiwały na miano ładnych. Była ujmująco sympatyczna. Czarne, krótko ostrzyżone włosy odznaczały się gęstością i połyskiem. Robiła wrażenie energicznej osóbki, i łatwo się było domyślić, że członek parlamentu, u którego pracowała, miał z niej świetną sekretarkę.

— Pokochałam ten kraj od pierwszego rzutu oka — rzekła. — Chociaż tak często jestem sama, nie przypominam sobie, żebym się kiedy nudziła.

Naturalnie czytała dużo powieści o archipelagu Malajskim i nabrała pewnego wyobrażenia o posępnej wyspie, poprzecinanej szerokiemi wstęgami złowieszczych rzek i porośniętej milczącą, nieprzenikniona dżunglą. Kiedy mały pobrzeżny parowiec wysadził ich u ujścia rzeki, gdzie czekała ogromna łódź, obsadzona przez dwunastu Dajaków, aby ich zawieźć na stację, widok cudownego krajobrazu, pociągającego raczej niż budzącego grozę, przyprawił ją o silne wstrząśnienie. Radosny nastrój bujnej przyrody przypominał wesoły świergot ptaków, ukrytych w koronach drzew. Po obu stronach rzeki rosły mangowce i palmy, a za niemi rozciągała się zwarta zielona gęstwina puszczy. Na dalszym planie błękitniały łańcuchy gór. Doris doznała wrażenia nie ciasnoty i ponurości, lecz wolnych przestrzeni, otwartych dla swobodnych wędrówek pogodnej fantazji. Zieleń wdzięczyła się słoneczną jaskrawością, a niebo było lazurowe i promienne. Wdzięczna kraina zdawała się przyjmować ją powitalnym uśmiechem.

Płynęli wzdłuż brzegu, a wgórze nad ich głowami

leciała para gołębi. Tuż przed nimi przefrunął zimorodek niby uskrzydlony klejnot. Na gałęzi siedziały ze zwieszonemi ogonami dwie małpy. Na horyzoncie z drugiej strony szerokiej, mętnej rzeki, het, het poza dżunglą widniało stado małych białych chmurek, podobnych do baletnic w białych spódniczkach, które — wesołe i żywe — czekają w głębi sceny na podniesienie kurtyny. W sercu młodej kobiety wzbierała wielka radość. Myśl o tych pierwszych przeżyciach na nowej ziemi sprawiła, że spojrzała na męża z wyrazem głębokiego, pełnego wdzięczności uczucia.

A co to była za przyjemność doprowadzać do porządku wielką bawialnię. Gdy przyjechała, ujrzała na podłodze brudną, podartą matę. Na ścianach z niemalowanego drzewa wisiały (dużo za wysoko) reprodukcje znanych obrazów i dajackie tarcze i parangi. Na stolikach, nakrytych suknem dajackiem w ciemnych kolorach stały bronzy z Brunei, nieczyszczone od niepamiętnych czasów, puste pudełka od papierosów i wyroby malajskie ze srebra. W kącie stała nieheblowana drewniana półka, wypełniona taniemi powieściami i dziełami podróżniczemi w zniszczonych skórzanych oprawach. Drugą półkę zajmowały puste butelki. Typowy kawalerski pokój, zaniedbany i nieprzytulny! Ubawił ją i jednocześnie rozrzewnił. Jakie też ten biedny Guy wiódł tutaj życie! Jakie smutne! Jakie samotne! Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w rumiany policzek.

— Moje biedactwo! — zawołała ze śmiechem.

Była zręczna i pracowita, to też niebawem wy-

gląd pokoju uległ zasadniczej zmianie. Przestawiła to, wyczyściła tamto, a z czem się nie dało nic zrobić, usunęła. Prezenty ślubne zapełniły pozostałe luki. W bawialni zapanował nastrój ciepła i wdzięku. W szklanych wazonach wdzięczyły się orchideje i ogromne bukiety kwitnących gałęzi. Doris czuła się nad wyraz dumna, bo był to jej własny dom. Dotychczas mieszkała zawsze w nędznych, wynajmowanych mieszkankach.

— Zadowolony jesteś ze mnie? — zapytała, doprowadziwszy wszystko do porządku.

— Najzupełniej — odpowiedział z uśmiechem.

Ucieszyła ją ta świadomie zdawkowa pochwała. Jak to dobrze, że oni się tak bardzo rozumieją! Oboje nie byli skłonni do łatwego okazywania wzruszeń, i rozmowy ich przechodziły rzadko kiedy poza ramy żartobliwych przekomarzań.

Skończyli jeść, i Guy rzucił się na leżak, aby zażyć popołudniowej drzemki. Doris skierowała się w stronę swego pokoju. Zdziwiła się bardzo, gdy w przejściu przyciągnął ją nagle ku sobie i pocałował w usta, nie mieli bowiem zwyczaju całować się w nieokreślonych godzinach.

— Nasycił się biedak, i zebrało mu się na czułości — zażartowała.

— Marsz stąd zaraz i żebyś mi dała święty spokój przynajmniej na dwie godziny!

— Tylko nie chrap!

Wyszła. Wstali o świcie, to też nie upłynęło i pięciu minut, a spali oboje jak zabici.

Doris obudziła się, usłyszawszy plusk w łazience. Ściany bungalowu były cienkie, i nigdy czynności młodej pary nie uchodziły nawzajem ich uszu. Nie chciało jej się ruszać, usłyszawszy jednak, że chłopiec nakrywa do herbaty, zerwała się i pobiegła do swojej łazienki. Woda, chociaż nie zimna, odświeżała nadzwyczajnie. W stołowym pokoju zastała męża, wyjmującego z szafy rakiety, bo wieczorami grywali zawsze w tennisa. Noc zapadała o szóstej.

Plac tennisowy znajdował się w odległości kilkuset kroków od bungalowu. Poszli tam zaraz po herbacie, nie chcąc tracić cennego czasu.

— Patrz — rzekła Doris. — To to sama kobieta która tu była z rana.

Guy odwrócił się szybko. Patrzył przez chwilę na Malajkę, ale milczał.

— Jaki ona ma śliczny sarong — zauważyła Doris. — Ciekawa jestem, skąd on pochodzi.

Minęli nieznajomą, która była drobna i mała, miała olbrzymie czarne, gwiaździste oczy, właściwe swej rasie, i bujne krucze włosy. Nie poruszyła się, gdy przechodzili, patrząc za nimi jakimś dziwnym wzrokiem. Doris zauważyła, że nie była tak młodociana, jak jej się zdawało zdaleka. Rysy miała nieco za grube, a skórę ciemną, lecz pomimo to była bardzo ładna. W ramionach trzymała dziecko. Doris, mijając ją, uśmiechnęła się do malca, co jednakże nie wywołało na usta matki ani cienia uśmiechu. Twarz jej pozostała niewzruszenie apatyczna. Nie patrzyła

na Guy'a, tylko na Doris. On zaś zachowywał się tak, jakby jej wcale nie widział.

— Czy to nie śliczne maleństwo? — zapytała młoda mężatka.

— Nie zauważyłem.

Zdumiał ją wyraz jego twarzy. Był blady jak płótno, a szpecące go brodawki, które ją tak martwiły, wydawały się czerwieńsze niż zazwyczaj.

— Czy zauważyłeś, jakie ona miała ręce i nogi? Istna księżniczka.

— Wszyscy tubylcy odznaczają się ładnemi rękami i nogami — odpowiedział.

W tonie jego słów nie brzmiała nuta zwykłego humoru. Mogło się zdawać, że zmusza się do mówienia.

Doris poczuła przypływ ciekawości.

— Co to za jedna, nie wiesz?

— Dziewczyna z kampongu.

Doszli do placu. Guy odwrócił się i spotkał się ze wzrokiem Malajki, która stała tam, gdzie ją minęli.

— Zaczynamy? — zapytała Doris.

— Tak. Przejdź na tamtą stronę.

Grał bardzo źle. Zazwyczaj ona bywała bita, tym razem jednak stało się odwrotnie. I grał w milczeniu. Zazwyczaj bywał hałaśliwy, wykrzykiwał, wydrwiwał ewentualnie swoją niezręczność i śmiał się z żony, gdy mu nie mogła sprostać

— Źle z tobą — zawołała.

— Ani trochę — odrzucił.

Zaciął się w grze, chcąc ją choć raz pobić. Ni-

gdy jeszcze nie widziała go z tak kamienną twarzą. Czy to możliwe, żeby niepowodzenie w grze wytrąciło go do tego stopnia z równowagi? Ściemniło się, i powrócili do domu. Malajka stała ciągle w tem samem miejscu. Raz jeszcze jej czarne oczy, osadzone w apatycznej twarzy, pogoniły za białą parą.

Na werandzie zastali podniesione story. Na stoliku między ich leżakami stały butelki i syfon z wodą sodową. Za bungalowem rozpościerała się szeroka wstęga rzeki, na której dalszym brzegu majaczyła dżungla, tonąca w tajemniczym mroku zapadającej nocy. W ciszy rozlegał się plusk wioseł.

— Fatalnie dziś grałem — rzekł Guy, przerywając milczenie. — Jestem trochę zdenerwowany.

— O, mój Boże! Chyba nie będziesz miał febry?

— Cóż znowu! Jutro będę w porządku.

Zapadły ciemności. Skrzeczały donośnie żaby, a od czasu do czasu rozlegały się trele jakiegoś nocnego ptaka. Powietrze migotało od fosforyzujących owadów, które nadawały drzewom wygląd choinek, oświetlonych maleńkiemi świeczkami.

Nagle Doris usłyszała ciche westchnienie. Guy? Taki zawsze wesoły — nie, to niemożliwe!

— Co ci jest, mały? — zapytała łagodnie. — Powiedz mamusi!

— Nic mi nie jest. Napijmy się jeszcze — odpowiedział swobodnie.

Na drugi dzień był wesoły jak zwykle. Przyszła poczta, której przybycie stanowiło ważne wydarzenie w ich monotonnem życiu. Przez pierwszy dzień prze-

rzucali zazwyczaj pośpiesznie otrzymane listy, gazety, tygodniki i książki, pozostawiając na dalsze tygodnie bardziej gruntowną lekturę. Wyrywali sobie ilustrowane pisma. Gdyby nie roztargnienie, spowodowane nowinami, Doris zauważyłaby, że w Guy zaszła zmiana, choć trudnoby jej było określić, jaka. W oczach świeciła mu dziwna czujność, a w opuszczonych kącikach ust krył się wyraz lekkiego niepokoju.

W tydzień później, siedząc z rana w zaciemnionym pokoju nad gramatyką malajską, usłyszała przed domem hałas i rozmowę. Rozlegał się gniewny głos służącego naprzemiany z dogadywaniem woziwody i przeraźliwem jazgotaniem tubylczej kobiety, poczem dało się słyszeć gwałtowne szamotanie. Doris podeszła do okna i otworzyła okiennice. Woziwoda ciągnął natrętną kobietę za rękę, podczas gdy służący pchał ją ztyłu. Była to ta sama Malajka, która wałęsała się z rana koło bungalowu, a wieczorem wystawała na ścieżce niedaleko placu tennisowego. Na rękach miała dziecko. Wszyscy troje wrzeszczeli i wymyślali sobie nawzajem.

— Hej! — krzyknęła Doris. — Co wy robicie?

Na dźwięk jej głosu woziwoda puścił nagle kobietę, która pchana w dalszym ciągu od tyłu, upadła na ziemię. Zapanowało milczenie. Służący patrzył ponuro w przestrzeń. Woziwoda stał chwilę, niepewny, co robić, poczem wymknął się chyłkiem za bramę. Kobieta podniosła się powoli z ziemi, poprawiła na rękach dziecko i stanęła, obojętna i kamienna jak zawsze, z oczami utkwionemi w białą postać w oknie.

Służący powiedział do niej coś niedosłyszalnego, i Malajka oddaliła się z ociąganiem, nie dawszy żadnego znaku, że go usłyszała. Chłopiec poszedł za nią do bramy. Doris zawołała na niego, gdy wracał, ale udał, że nie słyszy. Ogarnął ją gniew. Zawołała po raz drugi.

— Chodź tu do mnie zaraz! — krzyknęła.

Chłopiec odwrócił głowę, aby uniknąć jej gniewnego wzroku, i wszedł do bungalowu. Na twarzy jego malował się wyraz kwaśnej niechęci.

— Coś ty robił z tą kobietą? — zapytała popędliwie.

— Tuan kazał ją wyrzucić.

— Nie wolno ci jej maltretować, rozumiesz? Powiem wszystko tuanowi.

Chłopiec nie odpowiedział. Patrzył wbok, ale miała wrażenie, że obserwuje ją przez opuszczone długie rzęsy. Odprawiła go gestem.

— Możesz iść.

Odwrócił się w milczeniu i odszedł na kwaterę służby. Była tak wzburzona, że nie potrafiła skupić ponownie uwagi na ćwiczeniach malajskich. Niezadługo służący powrócił, aby nakryć do lunchu. Nagle drgnął i podszedł do drzwi.

— Co takiego? — zapytała.

— Tuan idzie.

Wyszedł na spotkanie Guy'a odebrać od niego kapelusz. Jego bystry słuch pochwycił kroki młodego pana prędzej niż ona. Guy nie wszedł odrazu po schodach jak zwykle, lecz przystanął, i zamienili ze

sobą parę słów. Najwidoczniej chciał mu pierwszy opowiedzieć o porannym incydencie. Doris wzruszyła ramionami, ale widok szarej twarzy Guy'a wprawił ją w zdumienie.

— Guy, na Boga, co ci się stało?

Zaczerwienił się jak piwonja.

— Nic. A dlaczego?

Była tak zaskoczona, że pozwoliła mu przejść do garderoby, nie powiedziawszy ani słowa z tego, co zamierzała. On przebierał się i kąpał dłużej niż zazwyczaj.

— Guy — rzekła, gdy zasiedli do stołu — ta Malajka, wiesz która, znowu tu dzisiaj była.

— Słyszałem — odpowiedział.

— Chłopcy potraktowali ją brutalnie. Musiałam interwenjować. Trzeba, żebyś im coś powiedział.

Jakkolwiek służący malajski rozumiał każde jej słowo, to jednak udawał, że nie słyszy. Podał jej grzanki.

— Nie pozwoliłem jej tu przychodzić i poleciłem wyrzucać za bramę, gdyby się pokazała.

— Czyż nie mogli zrobić tego w bardziej delikatny sposób?

— Nie chciała odejść. Przypuszczam, że byli do tego zmuszeni.

— Okropność — maltretować w ten sposób kobietę. I w dodatku miała na rękach niemowlę.

— Gdzież tam niemowlę. Dzieciak ma trzy lata.

— Skąd wiesz?

— Wiem o niej wszystko. Nie miała absolutnie prawa przychodzić tu i robić awantury.

— A czego ona chciała?

— No, zrobić awanturę. To chyba jasne?

Przez chwilę Doris milczała, zdziwiona tonem męża. Odpowiadał lakonicznie, tak, jakby ona nie miała prawa pytać. Pomyślała, że jest mało uprzejmy. Był zdenerwowany i zły.

— Wątpię, czy będziemy dziś mogli grać w tenisa — zauważył. — Zanosi się na burzę.

Gdy się obudziła, lał deszcz, i niesposób było wyjść. W czasie podwieczorku Guy był roztargniony i milczący. Potem ona zabrała się do szycia, a on do czytania reszty angielskich gazet. Niedługo to trwało, bo za chwilę wstał i zaczął krążyć nerwowo po wielkim pokoju, poczem wyszedł na werandę. Co on tak patrzy na deszcz i o czem myśli? Doris ogarnął nieokreślony niepokój.

Dopiero po obiedzie usłyszała jego głos. Starał się być wesoły jak zwykle, ale mu się to nie udawało. Deszcz przestał padać. i niebo zalśniło gwiazdami. Zasiedli na werandzie. W celu nieprzywabiania owadów lampę zostawili w bawialni. U ich stóp płynęła leniwie potężna, straszliwa, cicha, tajemnicza, fatalna rzeka. Było w niej coś z okropnej rozmyślności i nieugiętości przeznaczenia.

— Doris, mam ci coś do powiedzenia — rzekł znienacka.

Głos jego brzmiał bardzo dziwnie. Czy tylko jej się zdawało, czy naprawdę przebijało w nim hamo-

wane drżenie? Poczuła w sercu drgnienie bólu z powodu jego widocznego udręczenia i ujęła go łagodnie za rękę. Cofnął ją raptownie.

— To długa historja. Obawiam się, że dość brzydka, i nie wiem, jak mi to przejdzie przez gardło Bądź łaskawa nie przerywać mi i nie robić żadnych komentarzy, dopóki nie skończę.

Nie widziała w ciemnościach jego twarzy, ale czuła, że musi być strasznie blady. Nie odpowiedziała. Mówił tak cicho, że głos jego był nieledwie szmerem.

— Kiedy tu przyjechałem, miałem dopiero osiemnaście lat. Prosto ze szkoły. Spędziłem trzy miesiące w Kuala Solor, skąd mnie wysłano wgórę rzeki Sembulu. Naturalnie na stacji zastałem rezydenta i jego żonę. Mieszkałem w sądzie, ale jadałem razem z nimi i w ich towarzystwie przepędzałem wieczory. Nagle biały funkcjonarjusz, który tu mieszkał, zachorował i musiał wyjechać do kraju. Brakowało wtedy ludzi z powodu wojny, i mnie powierzono jego stanowisko. Byłem coprawda bardzo młody, ale mówiłem po malajsku jak tubylec, no, i pamiętano mego ojca. Samodzielne stanowisko napełniło mnie wielką dumą.

Umilkł i, wytrząsnąwszy popiół z fajki, nabił ją zpowrotem. Kiedy zapalał zapałkę, Doris, nie patrząc, zauważyła, że mu drży ręka.

— Nigdy przedtem nie zaznałem prawdziwej samotności. W domu miałem rodziców, i ojciec miał zwykle pomocnika. O szkole niema co nawet mówić.

Podróż odbywała się w towarzystwie. Potem bawiłem w Kuala Solor, a i na pierwszej posadzie miałem białe towarzystwo. Lubiłem żyć między ludźmi. Jestem towarzyski, hałaśliwy i lubię rozrywki. Lubię się też śmiać, a przecież trudno się śmiać samemu. Ale tutaj było zupełnie co innego. Ma się rozumieć, za dnia czułem się bardzo dobrze. Miałem swoją pracę i mogłem rozmawiać z Dajakami. Pomimo, że miałem dużo kłopotu, aby ich utrzymać w karbach, byli to bardzo dobrzy ludzie. Żyłem z nimi na bardzo przyjacielskiej stopie. Naturalnie wolałbym był towarzystwo białego człowieka, ale lepszy był rydz niż nic. Lubiłem pracować, i pracę ułatwiało mi to, że oni nie uważali mnie za zupełnie obcego. Wieczorami smutnie było siedzieć samemu na werandzie, lecz mogłem czytać, i naokoło kręcili się służący. Najstarszy z nich nazywał się Abdul i znał mojego ojca. Zmęczywszy się czytaniem, wołałem go, i ucinaliśmy pogawędkę.

Dobiły mnie noce. Po obiedzie służący zamykali wszystko na cztery spusty i szli spać do kampongu. Zostawałem wtedy sam. W bungalowie panowała głęboka cisza, przerywana kiedy niekiedy rechotaniem żab. Z kampongu dochodził mnie odgłos gongu. Bawiono się i to tak niedaleko, a ja byłem sam. Znużyło mnie czytanie. I w więzieniu nie mógłbym się czuć bardziej więźniem. Noc w noc powtarzało się to samo. Próbowałem pić dla nabrania fantazji, ale marna to rzecz pić samemu, i w dodatku na drugi dzień rano czułem się jeszcze gorzej. Próbowałem się

kłaść spać odrazu po obiedzie, cóż, kiedy nie mogłem zasnąć. Leżałem w łóżku, trzeźwy i zdenerwowany do ostateczności. Nie wiedziałem poprostu, co z sobą robić. Boże, jakież te noce były długie! Wiesz, doszedłem do takiego stanu rozprzężenia, tak mi było żal siebie samego, że — (teraz chce mi się z tego śmiać, ale wtedy miałem dopiero dziewiętnaście i pół lat) — że nieraz zalewałem się łzami.

Pewnego wieczora po obiedzie Abdul, zabierając się do odejścia, chrząknął lekko i zapytał, czy nie czuję się samotny w długie, puste noce.

— O, nie — odpowiedziałem. — Dobrze mi jest.

Nie chciałem, żeby się domyślił, co się ze mną działo, ale on i tak wiedział. Stał przede mną i milczał. Czułem, że chce mi coś powiedzieć.

— Co takiego? — zapytałem. — Gadaj!

Wtedy zakomunikował mi, że jeżeli chcę żyć z dziewczyną, to on wie o takiej, którąby chętnie do mnie przyszła. Dobra dziewczyna! Może ją polecić z czystem sumieniem. Nie będzie z nią kłopotu, a ożywi pustkę bungalowu. Będzie miała staranie o moją garderobę...

Czułem się fatalnie. Przez cały dzień padało, i nie byłem nawet na spacerze. Wiedziałem, że w nocy czeka mnie wielogodzinna bezsenność. Chłopiec dodał, że nie będzie mnie to wiele kosztowało. Jej rodzina jest biedna i zadowoli się małym prezentem.

— Jak się ona tuanowi nie podoba — uzupełnił— to może ją tuan odesłać.

Zapytałem wtedy, gdzie ona jest

— Tutaj — odparł. — Zawołam ją.

Poszedł do drzwi. Dziewczyna czekała na schodach z matką. Weszły obie i usiadły na ziemi. Poczęstowałem je słodyczami. Naturalnie była nieśmiała, ale dosyć opanowana i, kiedy się do niej odezwałem, odpowiedziała mi uśmiechem. Była bardzo młoda, prawie dziecko. Mówili, że miała piętnaście lat. Odznaczała się wielką urodą i ubrana była w co tylko miała najlepszego. Zaczęliśmy rozmawiać. Niewiele mówiła, tylko, gdy się z nią przekomarzałem, zanosiła się śmiechem. Abdul powiedział mi, że jest bardzo rozmowna, ale musi się ośmielić. Kazał jej usiąść przy mnie. Odmówiła z chichotem i dopiero na żądanie matki wstała z podłogi. Zrobiłem jej miejsce obok siebie na krześle. Zarumieniła się, roześmiała i przytuliła do mnie jak dziecko. I chłopiec też się roześmiał.

— Już ona sobie tuana upodobała — rzekł. — Czy może zostać? — zapytał.

— Czy chcesz ze mną zostać? — zapytałem.

W odpowiedzi roześmiała się ponownie i ukryła twarz na mojem ramieniu. Była mała i bardzo delikatna.

— Dobrze — rzekłem — niech zostanie.

Guy pochylił się nad stołem i nalał sobie whisky z wodą sodową.

— Czy już mogę mówić? — zapytała Doris.

— Poczekaj. Jeszcze nie skończyłem. Nie kochałem jej nigdy, nawet na początku. Wziąłem ją tylko dlatego, żeby nie być samotnym w bungalowie.

Sądzę, że gdybym był tego nie uczynił, to albobym się rozpił, albo dostał pomieszania zmysłów. Goniłem resztkami odporności. Byłem za młody, aby być samotnym. Nigdy nie kochałem żadnej kobiety, tylko ciebie.

Zawahał się i dodał:

— Mieszkała ze mną do chwili mego zeszłorocznego wyjazdu na urlop. To właśnie ta kobieta, która przyszła dzisiaj przed bungalow.

— Domyśliłam się tego. Miała dziecko na rękach. Czy to twoje dziecko?

— Tak. Dziewczynka.

— Więcej nie miałeś?

— Widziałaś kiedyś w kampongu dwóch małych chłopców pół krwi.

— Więc mieliście ze sobą troje dzieci?

— Tak.

— O, założyłeś sobie rodzinę w całem tego słowa znaczeniu!

Zauważyła, że na tę uwagę żachnął się gwałtownie. Przez chwilę milczał.

— Czy dowiedziała się o twojem małżeństwie dopiero, gdyś mnie tu przywiózł? — zapytała Doris.

— Wiedziała, że mam się ożenić.

— Jakto?

— Przed odjazdem odesłałem ją do wioski, dałem, co obiecałem, i powiedziałem, że między nami skończone. Wiedziała od początku, że to było tylko tymczasowe. Miałem jej dosyć. Powiedziałem jej, że ożenię się z białą kobietą.

— Ale wtedy nie wiedziałeś nawet o mojem istnieniu!

— Nie wiedziałem, ale postanowiłem się ożenić.

Zaśmiał się dawnym, wesołym śmiechem.

— Powiem ci szczerze, że spotkawszy się z tobą, czułem się przygnębiony. Nie wiedziałem, czy mi się to uda. Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia i zrozumiałem, że albo ty będziesz moją żoną, albo żadna.

— Dlaczegoś mi tego nie powiedział? Czy nie uważasz, że powinieneś był być wtedy ze mną zupełnie szczery? Mogłeś sobie chyba wyobrazić, że twoja żona dozna wielkiego wstrząśnienia, dowiedziawszy się, żeś żył przez dziesięć lat z inną kobietą i żeś miał z nią troje dzieci.

— Bałem się, że tego nie zrozumiesz. Warunki miejscowe są szczególne. Takie rzeczy są tu na porządku dziennym. Na sześciu mężczyzn pięciu żyje z Malajkami Obawiałem się, że cię to do mnie zrazi, a nie chciałem cię stracić. Widzisz, kochanie, kochałem cię do szaleństwa i teraz kocham tak samo. Nie przypuszczałem, żebyś się kiedy o tem dowiedziała. Nie spodziewałem się, że wrócę na to samo miejsce. Po urlopie rzadko kogo wysyłają w to samo miejsce. Przybywszy tutaj dałem jej pieniędzy, aby się przeniosła do innej wioski. Początkowo zgodziła się, ale później zmieniła zdanie.

— Dlaczego powiedziałeś mi o tem — teraz?

— Wyprawiała straszne awantury. Nie wiem, jakim sposobem dowiedziała się, że nic o niej nie

wiesz, i zaczęła mnie szantażować. Musiałem jej dać masę pieniędzy. Dałem rozkaz, aby jej nie puszczano za bramę. Dziś rano zrobiła awanturę w celu zwrócenia na siebie twojej uwagi. Chciała mnie nastraszyć. Ten stan rzeczy był nie do zniesienia. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jak się przed tobą wyspowiadam.

Zapadło długie milczenie. Wreszcie Guy ujął jej rękę.

— Rozumiesz, Doris, nieprawdaż? Wiem, że bardzo zawiniłem.

Nie cofnęła ręki, chłodnej coprawda jak mokry liść.

— Czy ona jest zazdrosna?

— Dobrze jej było u mnie, i pewnie jest nierada ze zmiany losu. Ale nigdy mnie nie kochała, tak samo, jak ja jej. Malajki rzadko kiedy przywiązują się naprawdę do białych.

— A dzieci?

— O, dzieciom nie stanie się nic złego. Zaopatrzyłem je w środki do życia. Gdy chłopcy podrosną, poślę ich do szkoły do Singapore.

— Czy one nic cię nie obchodzą?

Zawahał się z odpowiedzią.

— Powiem ci szczerą prawdę. Przykroby mi było, gdyby im się stało coś złego. Przed narodzeniem się pierwszego, wyobrażałem sobie, że przywiążę się do niego więcej niż do matki. Pewnieby tak było, gdyby to było białe dziecko. Naturalnie jako maleństwo było ono dosyć zabawne i wzruszające, ale nigdy nie

miałem wrażenia, że to naprawdę moje. Widzisz, tak się ta rzecz przedstawia. Nie mogę sobie zdać sprawy, że te dzieci należą do mnie. Wyrzucałem to sobie jako uczucie przeciwne naturze, ale faktem jest, że interesują mnie nie więcej niż dzieci innych ludzi. Naturalnie ludzie, niemający dzieci, wygłaszają w tej kwestji mniej lub więcej wzniosłe komunały.

Dowiedziała się wszystkiego. Czekał co mu teraz powie, ale milczała jak zaklęta.

— Czy chciałabyś się jeszcze czegoś dowiedzieć, Doris? — zapytał wkońcu.

— Nie. Głowa mnie boli. Pójdę się położyć.

Głos jej brzmiał tak pewnie, jak zawsze.

— Nie wiem właściwie, co ci na to odpowiedzieć. To wszystko spadło na mnie jak piorun z jasnego nieba. Musisz mi dać trochę czasu do namysłu.

— Czy bardzo się na mnie gniewasz?

— Nie. Wcale nie. Tylko — tylko muszę na pewien czas pozostać sama. Nie wstawaj. Idę się położyć.

Wstała z leżaka i położyła mu rękę na ramieniu.

— Taka dzisiaj gorąca, duszna noc! Chciałabym, żebyś spał w swojej garderobie. Dobranoc!

Odeszła. Usłyszał, jak zamknęła na klucz drzwi swojej sypialni.

Na drugi dzień była bardzo blada. Najwidoczniej noc przeszła jej bezsennie. Z zachowania się jej nie przebijał nawet cień goryczy. Rozmawiała jak zwykle, ale z pewnem skrępowaniem. Poruszała różne tematy w taki sposób, jakby rozmawiała nie z mężem,

lecz ze znajomym. Nigdy się jeszcze ze sobą nie posprzeczali, lecz Guy miał wrażenie, że gdyby do tego doszło, takby się właśnie zachowywała bezpośrednio po pojednaniu. Wyraz jej oczu napełniał go zdumieniem. Czytał w nich jakiś dziwny strach. Zaraz po obiedzie rzekła:

— Źle się dzisiaj czuję. Chyba się położę.

— O, moje biedne maleństwo! — wykrzyknął z żalem.

— Nic, nic. Za dzień, dwa przyjdę do siebie, i wszystko będzie dobrze.

— Przyjdę ci powiedzieć dobranoc.

— Nie, nie przychodź. Postaram się odrazu usnąć.

— Dobrze, więc mnie przedtem pocałuj.

Zauważył, że spłonęła rumieńcem. Przez chwilę jakgdyby się wahała, poczem, odwróciwszy oczy, nachyliła się ku jego twarzy. Wziął ją w ramiona i chciał pocałować w usta, lecz ona odwróciła twarz tak, że pocałował ją w policzek. Cofnęła się prędko, i znów usłyszał cichy zgrzyt klucza w zamku. Rzucił się ciężko na krzesło. Próbował czytać, ale nie mógł skupić myśli. Wytężał słuch na szmery z pokoju żony. Nic nie było słychać, a powiedziała przecież, że się położy. Cisza, panująca w jej pokoju, podziałała mu na nerwy. Zasłoniwszy ręką lampę, zauważył świetlistą linję nad progiem. Nie zgasiła światła. Co ona, u Pana Boga, robi? Odłożył książkę. Nie byłoby go dziwiło, gdyby się gniewała, robiła mu sceny lub płakała, dałby sobie jakoś radę, ale jej spokój napełniał go trwogą. I co znaczy ten strach, przebły-

skujący tak wyraźnie w jej oczach? Przemyślał raz jeszcze to, co jej powiedział poprzedniego wieczora. Nie wiedział, czy wogóle można to było przedstawić w innem świetle. Ostatecznie najważniejsze było to, że postąpił niegorzej od innych i że cała ta afera skończyła się na długo przedtem, zanim poznał Doris. Naturalnie bieg wypadków wykazał, że postąpił głupio, ale cóż, każdy potrafi być mądry po szkodzie! Przycisnął rękę do serca. Dziwne, jak tam boli!

— Tak się pewnie czują ludzie, o których się mówi, że im złamano serce — rzekł do siebie. — Ciekaw jestem, jak taka rzecz długo trwa.

A może zapukać do niej i poprosić o rozmowę? Trzeba to jakoś wyświetlić. Musi dojść z nią do porozumienia. Ale cisza, panująca w jej pokoju, przejęła go strachem. Najmniejszego szelestu, żadnych odgłosów. Może lepiej jednak zostawić ją w spokoju. Naturalnie doznała biedaczka silnego wstrząśnienia. Powinien się z tem liczyć i dać jej czas do refleksyj. Ostatecznie wie chyba, jak on ją kocha. Przedewszystkiem cierpliwość! Może ona zmaga się ze sobą! Musi jej dać czas do ochłonięcia z wrażenia. Musi być cierpliwy!

Na drugi dzień zapytał jej, czy dobrze spała.

— Owszem — odpowiedziała.

— Czy gniewasz się na mnie? — zapytał żałośnie.

Popatrzyła na niego swemi szczeremi, dobremi oczyma.

— Ani trochę.

— Jakże się cieszę, kochanie. Żyłem jak zwie-

rzę, wiem o tem i rozumiem, że w tobie musiało to wzbudzić niechęć i odrazę. Ale przebacz mi, przebacz. Taki jestem nieszczęśliwy.

— Przebaczyłam ci już i nawet nie mam ci tego za złe.

Uśmiechnął się boleśnie i spojrzał na nią wzrokiem obitego psa.

— Przez te ostatnie dwie noce smutno mi było spać samemu.

Odwróciła głowę, i twarz jej okryła się lekką bladością.

— Kazałam wynieść łóżko z mego pokoju. Zajmowało tak dużo miejsca. Śpię teraz na łóżeczku polowem.

— Co ty mówisz? Doris?

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie będę żyć z tobą jako żona.

— Nigdy?

Potrząsnęła głową. Patrzył na nią oszołomiony. Nie wierzył własnym uszom i serce biło mu tak, że o mało nie rozsadziło piersi.

— Doris, jakaś ty okrutna, jaka niesprawiedliwa!

— Czy nie uważasz, żeś i ty postąpił nagannie, przywożąc mnie tutaj w danych okolicznościach?

— Ależ przed chwilą powiedziałaś, że nie masz mi tego za złe?

— Prawda, ale tamto to zupełnie co innego. Nie mogę zastosować się do twego życzenia.

— Ale w takim razie jak my będziemy ze sobą żyli?

Spuściła oczy i zdawało się, że się namyśla.

— Wczoraj wieczorem, kiedy chciałeś mnie pocałować w usta, o mało... o mało nie krzyknęłam ze wstrętu.

— Doris!

Spojrzała na niego, i oczy jej były chłodne i wrogie.

— Czy na tem łóżku, na którem spałam, ona wydawała na świat dzieci?

Guy oblał się gorącym szkarłatem.

— Och, to okropne, okropne! Jak mogłeś?

Załamała ręce. Palce jej wyglądały jak małe wijące się węże. Opanowała się jednak z wysiłkiem i ciągnęła dalej:

— Powzięłam nieodwołalną decyzję. Nie chcę być względem ciebie niesprawiedliwa, ale są rzeczy, których nie możesz ode mnie wymagać. Myślałam o tem bezustannie od chwili twego wyznania w dzień i w noc, tak, że aż się czuję osłabiona. Pierwszy mój odruch był taki, że chciałam poprostu zabrać się i odjechać. Odrazu. Parowiec będzie tu za dwa — trzy dni.

— Czy moja miłość jest dla ciebie niczem?

— Och, wiem, że mnie kochasz, to też tego nie zrobię Chcę dać szansę i sobie i tobie. Tak cię kochałam, Guy.

Głos jej się załamał, ale nie zapłakała.

— Nie chcę postąpić nierozsądnie. Bóg widzi, że nie chcę cię unieszczęśliwić. Guy, dasz mi czas do namysłu?

— Nie rozumiem, o co ci idzie?

— Chcę, żebyś mnie pozostawił samą. Lękam się własnych uczuć.

A więc nie omylił się. Boi się. Ale czego?

— Jakich uczuć?

— Proszę, nie pytaj mnie o to. Nie chciałabym cię ranić. Może uda mi się je przemóc. Bóg widzi, że pragnę tego z całego serca. Spróbuję. Przyrzekam ci, Guy. Daj mi sześć miesięcy czasu. Wszystko dla ciebie zrobię, wszystko, wszystko z wyjątkiem tego jednego.

Wykonała pokornie błagalny gest

— Może i tak będziemy mogli być szczęśliwi. Jeżeli mnie naprawdę kochasz — to — to — zdobędziesz się na cierpliwość.

Westchnął głęboko.

— Dobrze — odparł. — Pewnie, że nie będę cię zmuszał do niczego. Stanie się podług twojej woli.

Osunął się ciężko na krzesło, tak, jakby się nagle zestarzał, poczem dźwignął się z wysiłkiem.

— Idę do biura.

Wziął kork i wyszedł.

Upłynął miesiąc. Kobiety umieją lepiej maskować swoje uczucia niż mężczyźni, to też żaden przypadkowy gość nigdyby się nie domyślił, że Doris ma jakieś zmartwienie. Guy zato zdradzał się wyraźnie ze swojem cierpieniem. Jego okrągła, dobroduszna twarz była mizerna i zapadnięta, a w wesołych niegdyś oczach czaił się głodny wyraz dręczącego niepokoju. Obserwował żonę. Była wesoła i żartowała

z niego tak, jak za dawnych czasów. Grali razem w tennisa, rozmawiali i chodzili na spacery. Było jednak widoczne, że młoda kobieta gra rolę, do jakiej ją zmusił bieg wypadków. Wkońcu Guy nie wytrzymał i poruszył ponownie kwestję swego związku z Malajką.

— Och, poco poruszać stare dzieje, jużeśmy o tem mówili — odpowiedziała swobodnie. — Powiedziało się wszystko, co było do powiedzenia i zostałeś w moich oczach najzupełniej usprawiedliwiony.

— Więc dlaczego mnie tak karzesz?

— Mój biedny chłopcze, nie chcę cię karać. To nie moja wina, że... — wzruszyła ramionami. — Natura ludzka jest bardzo dziwna.

— Nie rozumiem.

— Nie próbuj rozumieć.

Te ostre słowa osłodziła serdecznym uśmiechem. Każdego wieczora, idąc spać, pochylała się nad Guy i całowała go lekko w policzek, a właściwie muskała wargami. Miał wrażenie, że ćma ociera się w przelocie o jego twarz.

Minął drugi miesiąc, potem trzeci i nagle pozornie nieskończony termin dobiegł końca. Guy ciekaw był, czy o tem pamiętała. Obserwował ją teraz baczniej niż kiedykolwiek, każdy jej ruch, każdą zmianę wyrazu twarzy. Pozostała nieprzenikniona. Prosiła go o sześć miesięcy zwłoki. Zgodził się na to, a teraz co?

Przyszła poczta. Guy pisał gorliwie listy, które parowiec miał zabrać w powrotnej drodze. Upłynę-

ło kilka dni. Była środa. Prahu odpływała w czwartek skoro świt, by czekać u ujścia rzeki na przybycie okrętu. W ostatnich czasach mało ze sobą rozmawiali, chyba przy stole. Po obiedzie, jak zwykle, zabrali się do czytania. Jednakże, gdy chłopiec sprzątnął nakrycia i odszedł, Doris odłożyła książkę.

— Guy, chcę ci coś powiedzieć — rzekła szeptem.

Serce załomotało mu gwałtownie o żebra i poczuł, że zbladł.

— Nie rób takiej miny, kochanie, to nic takiego strasznego — dorzuciła ze śmiechem.

Spostrzegł jednak, że głos jej drży.

— Słucham.

— Chcę cię o coś prosić.

— Najdroższa, niema rzeczy, którejbym dla ciebie nie zrobił.

Chciał ją ująć za rękę, którą cofnęła.

— Pozwól mi odjechać do domu.

— Do domu? — krzyknął przerażony. — Kiedy? Poco?

— Panowałam nad sobą tak długo, jak tylko mogłam, ale już dłużej nie wytrzymam.

— Na jak długo chcesz jechać? Na zawsze?

— Nie wiem. Chyba, że tak.

Zdobyła się na odwagę.

— Tak. Na zawsze.

— Wielki Boże!

Głos mu się załamał. Myślała, że wybuchnie płaczem.

— O, Guy, nie gniewaj się na mnie. To nie moja wina. Jestem wobec tego bezsilna.

— Prosiłaś mnie o sześć miesięcy zwłoki. Zgodziłem się na twoje warunki. Nie możesz powiedzieć, że ci się narzucałem.

— O, nie.

— Starałem się ukrywać przed tobą stan moich uczuć.

— Wiem o tem i jestem ci bardzo wdzięczna. Byłeś dla mnie dobry. Słuchaj, Guy, jeszcze raz ci powtarzam, że nie mam ci za złe tego, co zrobiłeś. Ostatecznie byłeś wtedy bardzo młody i miałeś przykład innnych. Wiem, co to jest samotność na takiem pustkowiu. Och, mój najdroższy, tak mi cię strasznie żal! Wiedziałam o tem od początku i dlatego poprosiłam cię o sześć miesięcy zwłoki. Rozsądek mówi mi, że robię z igły widły. Jestem niedorzeczna, jestem niesprawiedliwa! Ale widzisz, to nie ma nic wspólnego z rozsądkiem. Dusza się we mnie otrząsa. Widok tej kobiety i jej dzieci przyprawia mnie o... o... lepiej ci tego nie powiem. I wszystko w tym domu. Kiedy pomyślę o łóżku, na którem spałam, dostaję gęsiej skóry... Nie wiesz, co ja przeszłam.

— Zdaje się, że uda mi się ją stąd wyprawić. Postaram się dla niej o przejazd.

— Toby się na nic nie zdało. Zawszeby mi stała przed oczyma. Ty należysz nie do mnie, tylko do nich. Myślę, że możebym to zniosła, gdyby było tylko jedno dziecko, a nie troje. I ci chłopcy, tacy już duzi! Żyłeś z nią przez dziesięć lat.

Wyjawiła wreszcie to, z czem się zmagała. Była w rozpaczy.

— To fizyczna odraza, absolutnie nie do przezwyciężenia. Kiedy pomyślę, że te jej chude, czarne ręce oplatały się naokoło twojej szyi, dostaję ataku wstrętu. Widzę cię pieszczącego jej czarne niemowlęta. Och, jakież to obrzydliwe. Twoje dotknięcie przyprawia mnie o dreszcz odrazy. Brzydzę się tobą! Każdego wieczora, całując cię w policzek, zaciskałam zęby, żeby nie krzyczeć.

Splatała i rozplatała ręce w agonji wstrętu i głos jej rwał się i załamywał.

— Wiem, że teraz wina jest po mojej stronie. Jestem głupią, histeryczną kobietą. Myślałam, że się przezwyciężę. Nie mogę i nigdy tego nie dokażę. Sama jestem sobie winna. Chętnie poniosę wszelkie konsekwencje. Jeżeli mi każesz zostać, zostanę, ale jeżeli zostanę, umrę. Błagam cię, pozwól mi odjechać.

Wybuchnęła długo powstrzymywanemi łzami. Nigdy jeszcze nie widział jej płaczącej.

— Naturalnie, że nie będę cię zatrzymywał wbrew twojej woli — rzekł zdławionym głosem.

Znużona łkaniem, oparła się o poręcz krzesła. Twarz dygotała jej straszliwem wzburzeniem. Widok rozpaczy, wyrytej na tych tak zazwyczaj pogodnych rysach, mógł obudzić najwyższe współczucie.

— Daruj mi, Guy. Zwichnęłam ci życie, ale zwichnęłam i swoje. A tacy mogliśmy byli być szczęśliwi!

— Kiedy chcesz odjechać? W czwartek?

— Tak.

Popatrzyła na niego żałosnym wzrokiem. Ukrył twarz w dłoniach. Po chwili podniósł głowę.

— Jestem śmiertelnie wyczerpany — rzekł.

— Czy mogę odejść?

— Owszem.

Może przez dwie minuty siedzieli w zupełnem milczeniu, poczem Guy wstał, wyszedł na werandę i, oparłszy się o balustradę, zapatrzył się w cicho płynącą rzekę. Słyszał, jak Doris weszła do swojego pokoju.

Na drugi dzień rano wstał wcześniej niż zazwyczaj i zapukał do jej drzwi.

— Muszę jechać w okolicę. Wrócę dopiero późnym wieczorem.

— Dobrze.

Zrozumiała. Nie chciał być obecny przy pakowaniu przez nią rzeczy. Pękłoby mu serce. Zebrawszy swoje ubrania, Doris rozejrzała się po bawialni po należących do siebie rzeczach. Nie, tych nie zabierze. To byłoby zbyt okropne. Pozostawiła więc wszystko z wyjątkiem fotografji matki. Guy powrócił dopiero o dziesiątej.

— Przepraszam, że nie wróciłem na obiad — rzekł. — W wiosce, do której jeździłem, było do załatwienia dużo spraw.

Zauważyła, że rozejrzał się po pokoju i skonstatował brak fotografji jej matki.

— Czy wszystko gotowe? — zapytał. — Kazałem wioślarzowi czekać nadole o świcie.

— Kazałam chłopcu obudzić się o piątej.

— Dam ci pieniędzy na drogę.

Podszedł do biurka, napisał czek i wyjął z szuflady kilka banknotów.

— To ci wystarczy do Singapore, a tam zrealizujesz czek.

— Dziękuję.

— Czy pozwolisz mi się odwieźć do ujścia rzeki?

— Może lepiej będzie, jak się tutaj pożegnamy?

— Dobrze. Położę się teraz. Miałem męczący dzień i ledwie stoję.

Nawet nie dotknął jej ręki. Poszedł do swego pokoju, i za parę minut usłyszała, jak się rzucił na łóżko. Siedziała chwilę, rozglądając się po raz ostatni po pokoju, w którym przeżyła tyle szczęśliwych i tyle nieszczęśliwych dni. Westchnęła głęboko, wstała i odeszła do swego pokoju. Wszystko było zapakowane z wyjątkiem kilku rzeczy potrzebnych na noc.

Było jeszcze ciemno, kiedy zostali obudzeni przez chłopca. Ubrali się pośpiesznie i usiedli do śniadania. Niebawem do pomostu przed bungalowem podpłynęła łódź i służący znieśli bagaż. Oboje udawali tylko, że jedzą. Zaczęło się rozwidniać. Rzeka wydawała się poprostu upiorna. Już minęła noc, ale dzień jeszcze nie nastał. W ciszy rozbrzmiewały wyraźnie głosy krajowców, uwijających się na pomoście. Guy spojrzał na nietknięty talerz żony.

— Jeżeli już skończyłaś, możemy zejść nadół. Najwyższy czas, jeżeli chcesz zdążyć na parowiec.

Nie odpowiedziała. Wstała od stołu i poszła do swego pokoju sprawdzić, czy czegoś nie zostawiła, poczem zeszli oboje nad rzekę. Koło platformy stała szeregiem warta w eleganckim ekwipunku, która na widok zwierzchnika sprezentowała broń. Główny wioślarz podał rękę Doris i pomógł jej zejść do łodzi. Odwróciła się i spojrzała na Guy. Pragnęła z całej duszy powiedzieć mu ostatnie słowo pociechy i raz jeszcze poprosić o przebaczenie, ale krtań odmówiła jej posłuszeństwa.

On wyciągnął rękę.

— Żegnaj. Mam nadzieję, że będziesz miała miłą podróż.

Podali sobie ręce.

Guy dał znak głównemu wioślarzowi i łódź odbiła od brzegu. Świt spływał już w rzekę, choć w ciemnych drzewach dżungli czaiły się jeszcze mroki nocy. Stał na pomoście, dopóki łódź nie roztopiła się w szarości poranku, poczem westchnął i zawrócił. Skinął z roztargnieniem warcie, która ponownie sprezentowała broń. Wszedłszy do bungalowu, zawołał chłopca i wyprzątnął wszystkie rzeczy, które należały do Doris.

— Spakuj to wszystko — rzekł. — Niema sensu, żeby to tu leżało.

Następnie zasiadł na werandzie i zapatrzył się w niebo, rozjaśniające się stopniowo blaskami dnia. Gdy spojrzał na zegarek, czas było iść do pracy.

Po południu nie mógł usnąć. Głowa pękała mu z bólu. Wziął strzelbę i poszedł na wędrówkę po dżungli. Nic nie upolował, włóczył się tu i owdzie, aby się znużyć. Powrócił o zachodzie słońca. Czas było ubrać się do obiadu. Co tam, już teraz nie potrzebuje się krępować! Włożył luźny malajski kaftan i sarong. W takim stroju obiadował zawsze przed przyjazdem Doris. Był boso. Zjadł obiad, nie uświadamiając sobie, co robi, i po odejściu chłopca, zabrał się do czytania. W bungalowie panowała wielka cisza. Nie mógł czytać. Gazeta spadła mu na kolana. Był strasznie wyczerpany. Nie mógł myśleć i czuł w głowie dziwną pustkę. Nagle usłyszał dyskretne kaszlnięcie.

— Kto tam? — krzyknął.

Czekał, patrząc w kierunku drzwi. Na progu stanął mały chłopiec pół krwi w podartym sarongu — jego starszy syn.

— Czego chcesz? — zapytał Guy.

Chłopiec posunął się w głąb pokoju i usiadł na ziemi, podwijając pod siebie nogi.

— Kto ci tu kazał przyjść?

— Matka. Pyta się, czy czego nie potrzeba?

Guy przyglądał się z natężeniem małemu mieszańcowi. Dziecko milczało, siedząc w wyczekującej pozie ze spuszczonemi bojaźliwie oczami. Młody człowiek ukrył twarz w dłoniach i pogrążył sie w głębokim, gorzkim namyśle. Naco się wszystko zda? Skończone! Tak, skończone! Poddał się. Podniósł głowę, i z piersi jego wydobyło się ciężkie westchnienie.

— Powiedz matce, niech zapakuje swoje rzeczy i wasze. Może wrócić.

— Kiedy? — zapytał apatycznie mały.

Po zabawnej okrągłej, pocentkowanej twarzy Guy pociekły gorące łzy.

— Zaraz.

Kropla malajskiej krwi

Wdół rzeki płynęły dwie prahu, jedna w odległości kilku jardów od drugiej. W pierwszej siedzieli dwaj biali. Po siedmiotygodniowej włóczędze po rzekach radzi byli, że tę noc przepędzą pod cywilizowanym dachem. Dla Izzarta, który bawił na Borneo od czasu wojny, domy Dajaków i ich uczty nie były naturalnie nowością. Zato Campion, nowicjusz, mimo zainteresowania dla ciekawej krainy stęsknił się za krzesłami i za łóżkiem. Dajakowie byli gościnni, ale ich siedziby niewygodne, a jedzenie rozpaczliwie jednostajne. Każdego wieczora, gdy podróżnicy przybijali do przystani, zjawiał się po nich naczelnik wioski z flagą w ręku w otoczeniu domowników. Prowadzono ich do długiego domu — (prawdziwej wioski pod jednym dachem) — zbudowanego na palach, do którego wchodziło się po pniu drzewa, wyciosanym w prymitywne schodki; przy biciu w bębny i gongi całe towarzystwo przemaszerowywało procesjonalnie tam i zpowrotem wzdłuż całej długości budynku. Po obu stronach siedziały w kuczki zwarte szeregi bru-

natnych ludzi i przyglądały się w milczeniu białym braciom. Następnie rozkładano dla gości czyste maty. Naczelnik przynosił żywego kurczaka i, trzymając go za nogi, powiewał nim trzykrotnie nad ich głowami, wzywając duchy na świadków tej ceremonji i wygłaszając przepisane inwokacje. Różni ludzie przychodzili z jajkami, i pito arak. Mała dziewczynka, bardzo drobna i nieśmiała, wdzięczna jak kwiat, z hieratyczną, kamienną twarzyczką, przytrzymywała kubek u warg białych ludzi, dopóki nie został wypróżniony, poczem wybuchała burza okrzyków. Mężczyźni zaczynali tańczyć jeden za drugim z tarczami i parangami do taktu bębnom i gongom. Po pewnym czasie goście przechodzili do jednej z izb, wychodzących na długą platformę i dostawali wieczerzę. Dziewczęta karmiły ich zapomocą chińskich łyżek. Następowała lekka pijatyka i pogadanka, przeciągająca się do samego świtania.

Teraz jednak podróż białych dobiegła końca i byli właśnie w drodze do wybrzeża. Wyruszyli o wschodzie słońca. Rzeka była płytka i toczyła swe przejrzyste fale po żwirowatem dnie. Drzewa po obu stronach nachylały się tak bardzo ku wodzie, że wgórze widać było tylko wąski pas nieba. Teraz wszakże wypłynęli na szersze rozlewisko, objęte gwałtownie bujną roślinnością, bambusami, drzewami chlebowemi, podobnemi do olbrzymich pęków strusich piór, palmami kokosowemi i innemi okazami flory dżungli. Gdzie niegdzie sterczał nagi szkielet drzewa, trafionego przez piorun lub uschłego ze starości, którego

białość odbijała wyraziście na tle jaskrawej zieleni. Nad równy poziom puszczy wystrzeliwały to tu, to tam królewskie leśne olbrzymy. Wszędzie widniały sploty zielonych lub kwietnych pasorzytów, pokrywających pnie i gałęzie nakształt ślubnego welonu i przerzucających się z drzewa na drzewo. W namiętnej dzikości tej arcybujnej przyrody czaiło się coś przejmującego i jednocześnie zuchwałego.

Dzień zbliżał się ku końcowi i upał nieco zelżał. Campion spojrzał na swój nędzny srebrny zegarek, połyskujący na opalonej ręce. Do miejsca przeznaczenia było już niedaleko.

— Co to za człowiek ten Hutchinson? — zapytał.

— Nie znam go. Zdaje się, że niezły chłop.

Hutchinson był to rezydent, w którego domu mieli zanocować. Posłali przodem Dajaka w czółnie, żeby oznajmił o ich przybyciu.

— Mam nadzieję, że uraczy nas whisky. Nachlapałem się tyle araku, że wystarczy mi na całe życie.

Campion był inżynierem górniczym, którego sułtan, jadąc do Anglji, spotkał w Singapore i wysłał do Sembulu, aby tam przeprowadził poszukiwania wiertnicze. Willis, rezydent z Kuala Solor, otrzymał instrukcje udzielenia mu wszelkich ułatwień, w następstwie czego oddał gościa pod opiekę Izzarta, który władał malajskim i dajackim jak tubylec. Była to już trzecia wyprawa, jaką odbyli w głąb kraju, i Campion wracał do stolicy z raportem. Mieli się spotkać z „Sułtanem Ahmedem" nazajutrz o świcie u ujścia

rzeki i dobić do Kuala Solor jeszcze przed wieczorem. Cieszyli się, że tam wracają. Stęsknii się do tennisa i golfa, do klubu z bilardowemi stołami, do względnie dobrego jedzenia i wygód cywilizacji. Izzart cieszył się również, że pozbędzie się wyłącznego towarzystwa Campiona. Spojrzał nań zukosa. Był to mały człowieczek z wielką, łysą głową, żywemi niebieskiemi oczami i szczecinowatemi, siwemi wąsami, pomimo przekroczonej pięćdziesiątki silny i elastyczny. Między połamanemi, zżółkłemi zębami tkwiła mu stale stara drewniana fajeczka. Nie był ani brudny, ani schludny, krótkie spodnie koloru khaki wisiały na nim w strzępach, kurtka była zniszczona i podarta. Na głowie miał zniszczony kork. Od osiemnastego roku życia włóczył się po całym świecie, był w Afryce Południowej, w Chinach i w Meksyku. Był dobrym kompanem, miał dar opowiadania i lubił pić. Byli ze sobą w dobrych stosunkach, ale Izzart nie czuł się nigdy w jego towarzystwie swobodny. Pomimo że śmieli się razem i upijali, nie wytworzyła się między nimi żadna zażyłość. Pozostali tylko znajomymi, niczem więcej. Izzart był bardzo wrażliwy na to, co o nim myśleli inni, a za jowjalnością Campiona wyczuwał pewien chłód. Błyszczące niebieskie oczy przeszywały go nawylot. Czuł się lekko dotknięty, że Campion wyrobił sobie o nim zdanie, a on nie wie jakie. Dręczyła go myśl, że może ten pospolity człowieczek nie ma o nim zupełnie dobrego wyobrażenia. Pragnął być przedmiotem sympatji i uwielbienia i chciał być popularny. Pragnął, aby świeżo poznani

ludzie lgnęli do niego jak muchy do miodu, aby mógł ich odrzucać lub darzyć trochę pobłażliwą przyjaźnią. Z natury lubił być ze wszystkimi na stopie poufałości, ale powstrzymywała go od tego obawa przed odprawą. Niekiedy uświadamiał sobie ze wstydem, że rozlewność jego spotyka się ze zdziwieniem ze strony wyróżnionych przezeń osób.

Przypadek sprawił, że nie spotkał dotąd Hutchinsona, choć znał go dobrze ze słyszenia, tak, jak tamten jego. Mieli wielu wspólnych przyjaciół. Hutchinson był w Winchester, i Issart rad był, że będzie się mógł przed nim pochwalić, iż skończył Harrow...

Prahu okrążyła zakręt rzeki, i oczom ich ukazał się nagle bungalow, stojący na lekkiem wzniesieniu. Po paru minutach rozróżnili przystań i stojącą na niej grupę tubylców, wśród których znajdowała się biała postać, dająca im powitalne znaki.

Hutchinson był to wysoki, barczysty mężczyzna z czerwoną, czerstwą twarzą. Na odległość robił wrażenie człowieka wesołego i pewnego siebie, to też poznawszy go, doznawało się zdziwienia, że był nieufny i trochę nieśmiały. Podał rękę gościom, którzy mu się przedstawili, i poprowadził ich ścieżką do bungalowu. Pomimo że starał się być grzeczny, widać było, że rozmowa przychodzi mu z trudnością. Zaprowadził ich na werandę i poczęstował whisky i wodą sodową. Rozłożyli się na leżakach. Izzart, widząc lekkie zakłopotanie Hutchinsona, otworzył się jak kwiat na słońcu. Stał się przyjacielski i rozmowny. Zaczął wyliczać wspólnych znajomych z Kualą

Solor i wspomniał niby to nawiasem, że był w Harrow.

— Pan był w Winchester, nieprawdaż? — zapytał Hutchinsona.

— Tak.

— Ciekaw jestem, czy znał pan Jerzego Parkera. Służył w tym samym pułku, co i ja. I on był w Winchester. Trochę młodszy od pana.

Izzart czuł, że fakt ich pobytu w tych dwóch szkołach zadzierzgnie między nimi pewien węzeł, wyłączający Campiona, który najwidoczniej nie cieszył się analogicznem wyróżnieniem. Nalewali i pili. Po upływie pół godziny Izzart zaczął nazywać gospodarza zdrobniale Hutchie. Mówił dużo o „moim pułku", w którym pod koniec wojny dowodził kompanją, i o sympatycznych kolegach, oficerach. Wymienił kilka nazwisk, które Hutchinson musiał znać. Nie byli to ludzie, z jakimi mógł się zetknąć Campion, to też z przyjemnością dał mu moralnego szczutka w nos, gdy inżynier przyznał się do znajomości z jednym z wymienionych dżentelmanów.

— Billie Meadows? Znałem w Sinalca faceta, który się tak nazywał, ale to już było wiele lat temu— rzekł Campion.

— Nie zdaje mi się, żeby to mógł być ten sam — odpowiedział z uśmieszkiem Izzart. — Billie jest parem Anglji. Lord Meadows, znany wyścigowiec, właściciel Spring Carrots, pamięta go pan?

Zasiedli niebawem do obiadu. Hutchinson dawno już nie był w Kuala Solor i od trzech miesięcy nie

widział białego człowieka. To też starał się nacie-
szyć dosyta rzadkimi gośćmi. Nie mógł ich poczę-
stować winem, ale whisky było poddostatkiem i po
obiedzie wydobył cenną butelkę Benedyktyna. Pa-
nowała ogólna wesołość. Wszyscy trzej śmieli się
i mówili jeden przez drugiego. Izzart czuł się zna-
komicie. Zdawało mu się, że nigdy jeszcze nikogo
tak nie polubił, jak Hutchinsona. Błagał go, aby za-
witał do Kuala Solor możliwie prędko. Campiona wy-
łączył z rozmowy w lekko złośliwym celu dania mu
nauczki. Hutchinson zaniedbał go przez nieśmia-
łość. Inżynier ziewnął kilka razy i oznajmił, że pój-
dzie się położyć. Pan domu zaprowadził go do przy-
gotowanego dlań pokoju. Kiedy powrócił, Izzart za-
pytał:

— Panu się chyba jeszcze nie śpieszy ze spa-
niem?

— Cóż znowu! Napijmy się jeszcze.

Siedzieli i gawędzili. Obaj trochę sobie pod-
chmielili. Hutchinson zwierzył się gościowi, że żyje
z młodą Malajką i ma z nią dzieci. W czasie obecno-
ści Campiona kazał swej czarnej rodzinie ukryć się
za kulisami.

— Pewnie śpią — rzekł, spoglądając w kierun-
ku drzwi, prowadzących do swego pokoju — ale z ra-
na pokażę panu moich malców.

W tej chwili rozległo się ciche, płaczliwe zawo-
dzenie.

— Hallo, obudził się djabełek — zauważył Hut-
chinson i poszedł do rzeczonego pokoju, skąd wyło-

nił się za chwilę z dzieckiem na rękach. Za nim szła kobieta.

— Ząbkuje — szepnął biały ojciec — i dlatego tak grymasi.

Kobieta była boso i miała na sobie sarong oraz cienki biały kaftanik. Była młoda, miała piękne czarne oczy i na odezwanie się Izzarta odpowiedziała sympatycznym, wesołym uśmiechem. Usiadła i zapaliła papierosa. Na grzeczne pytania gościa odpowiadała bez zakłopotania, ale i bez rozlewności. Hutchinson zapytał jej, czy nie napiłaby się whisky z wodą sodową, ale podziękowała. Dwaj mężczyźni zaczęli rozmawiać po angielsku. Malajka kołysała się lekko na krześle, pochłonięta niewiadomemi, cichemi myślami.

— Bardzo dobra dziewczyna — mówił Hutchinson. — Zajmuje się domem, i nie mam z nią żadnego kłopotu. Na takiem dzikiem pustkowiu nie ma człowiek innego wyjścia.

— Ja nigdy tego nie zrobię — odparł Izzart. — Ostatecznie może się człowiek kiedyś chcieć ożenić, i potem trudno wybrnąć z takiej sytuacji.

— A któżby się chciał żenić? Która biała kobieta chciałaby tu żyć? Nie zaproponowałbym tego żadnej za nic w świecie.

— To zresztą kwestja upodobań. W każdym razie moje ewentualne dzieci będą miały białą matkę.

Hutchinson spojrzał na ciemnoskóre maleństwo, które trzymał na rękach. Dziecko uśmiechnęło się słabo.

— Dziwne, jak się człowiek do nich przywiązuje — zauważył. — Jeżeli to są własne dzieci, fakt, że mają we krwi trochę smoły, nie zdaje się wchodzić w grę.

Kobieta spojrzała na malca i wstawszy, rzekła, że musi go zabrać do łóżka.

— I na nas czas — oznajmił gospodarz. — Bóg wie, która to już godzina.

Izzart odszedł do swego pokoju i otworzył okiennice, które zamknął chłopiec Hassan, stały towarzy jego podróży. Zgasił świecę, aby nie przyciągał moskitów, poczem usiadł w oknie i zapatrzył się w cichą noc. Wypite trunki wybiły go zupełnie ze sn. Zdjął ubranie, włożył sarong i zapalił cygaro. Nie był już teraz w dobrym humorze. Widok Hutchinsona, spoglądającego czule na dziecko pół krwi, wytrącił go z równowagi.

— Nie miał prawa obdarzać ich życiem — rzekł do siebie. — Takie dzieci nie mają w życiu żadnych szans. Żadnych. — Przesunął rękami po swoich obnażonych włochatych nogach i zadrżał. Pomimo wszelkich usiłowań, aby nabrać łydek, nogi jego pozostały proste jak kije od mioteł. Jakże je nienawidził! Nigdy nie schodziły mu z pamięci. Typowe nogi krajowca. Choć naturalnie trudno o lepsze nogi do długich butów. W mundurze wyglądał więcej niż dobrze. Był wysoki (przeszło sześć stóp wzrostu), potężnie zbudowany i miał ładne czarne wąsiki, gęste czarne włosy i piękne, wyraziste czarne oczy. Był bardzo przystojny i, wiedząc o tem, kładł nacisk na

ubranie. Nosił się niedbale, gdy to było w dobrym tonie, i stroił się, gdy tego wymagały okoliczności. Kochał wojsko, to też doznał gorzkiego rozczarowania, gdy pod koniec wojny został zwolniony. Ambicje miał skromne. Chciał mieć dwa tysiące rocznego dochodu, wydawać eleganckie obiady i służyć w wojsku. Tęsknił za Londynem.

Mieszkała tam jego matka, której osoba wchodziła w kolizję ze stylem syna. Zastanawiał się, jakby się mógł do niej przyznać, gdyby się kiedy zaręczył z panną z dobrej rodziny (nie biedną), za jaką się rozglądał w celach matrymonjalnych. Ojciec umarł już dawno, a ponieważ ostatnie lata życia przepędził na jakimś zapadłym malajskim posterunku, Izzart był przekonany, że nikt w Sembulu nie wie nic o jego matce. Żył jednak w ciągłej trwodze, że ktoś, spotkawszy ją przypadkiem w Londynie, doniesie miejscowym znajomym o jej mieszanem pochodzeniu. Kiedy żenił się z nią ojciec Izzarta, inżynier rządowy, było to bardzo piękne stworzenie, które przeobraziło się z biegiem lat w tłustą, starą kobietę z siwemi włosami i wiecznym papierosem w ustach. W chwili śmierci ojca Izzart miał dwanaście lat i mówił po malajsku lepiej niż po angielsku. Jedna z ciotek ofiarowała się zająć jego wykształceniem, i pani Izzart wyjechała z synem do Anglji. Zamieszkała w umeblowanych apartamentach. Pokoje jej, przybrane wschodniemi draperjami i malajskiemi srebrami, były zawsze przegrzane i duszne. Stara kobieta miała ciągłe kłopoty z właścicielkami mieszkania, które iry-

towały się, że zostawia po wszystkich kątach niedopałki papierosów. Izzart miał jej za złe sposób, w jaki zawierała z niemi przyjaźń. Początkowo bywała zawsze rażąco poufała, potem zaczynała się sprzeczać i po gwałtownej scenie wyprowadzała się gdzie indziej. Jedyną jej rozrywkę stanowiło kino, do którego uczęszczała dzień w dzień. W domu nosiła stary jaskrawy szlafrok, ale wychodząc, przywdziewała tak nadzwyczajne, choć brudne stroje, że syn skręcał się formalnie ze wstydu i udręczenia. Kłócił się z nią często, bo działała mu na nerwy, ale pomimo to żywił do niej głębokie przywiązanie. Łączyło ich coś silniejszego niż zwykła miłość synowska i macierzyńska, tak, że pomimo jej wad, które doprowadzały go do rozpaczy, Izzart tylko w towarzystwie matki czuł się zupełnie swobodnie.

Dzięki stanowisku ojca i własnej znajomości malajskiego (matka zawsze mówiła z nim tym językiem) dostał się po wojnie na służbę do sułtana Sembulu. Naogół dobrze mu się powodziło. Uprawiał z powodzeniem sporty, był silny i atletyczny. W klubie w Kuala Solor można było oglądać puhary, które zyskał w Harrow za biegi i skoki. Później przybyły do nich inne za golfa i tennisa. Był rozmowny i wesoły, a przeto pożądany w towarzystwach.

Powinien był czuć się szczęśliwy, a nosił w sercu wieczną zgryzotę. Pragnął nadewszystko popularności, której nie osiągał. W tej chwili zdawał sobie z tego sprawę intensywniej niż kiedykolwiek. Zastanawiał się, czy ludzie z Kuala Solor, z którymi żył

na tak przyjacielskiej stopie, nie podejrzewają go przypadkiem o przymieszkę tubylczej krwi. Wiedział coby go spotkało, gdyby to kiedy wyszło najaw. Nie nazywaliby go już wesołym i towarzyskim człowiekiem, lecz djabelnie poufałym osobnikiem. Orzekliby, że jest niesumienny i niedbały jak wszyscy mieszańcy, a gdyby wspomniał o małżeństwie z białą kobietą, przyjęliby to szyderczym chichotem. Och, jakież to niesprawiedliwe! Co za różnicę mogła zrobić kropla krwi tubylczej w jego żyłach, a jednak, wiedząc o tem, spodziewaliby się w każdej chwili, że w jakimś krytycznym momencie zawiedzie położone w sobie zaufanie. Wszyscy wiedzą, że nie można dowierzać Euro-Azjatom i że prędzej czy później każdy z nich dopuści się haniebnego czynu. I on o tem wiedział i zadawał sobie pytanie, czy nie zawodzą właśnie dlatego, że się ludzie tego po nich spodziewają. Biedne wyrzutki nie mają żadnych szans!

Zapiał głośno kogut. Już chyba bardzo późno! Br! Jak chłodno! Położył się do łóżka. Na drugi dzień rano obudził się z silnym bólem głowy. Przy śniadaniu nie mógł patrzeć na zastawione przed sobą jedzenie — owsiankę, szynkę i jajka. Hutchinson również nie czuł się dobrze.

— Za bardzośmy sobie wczoraj pozwolili — zauważył gospodarz, usiłując pokryć uśmiechem lekkie zakłopotanie.

— Łeb mi pęka — rzekł Izzart.

— Co do mnie — to poprzestanę tylko na whisky i wodzie sodowej — dodał Hutchinson.

Izzart poszedł za jego przykładem i obaj przyglądali się z pewną odrazą Campionowi, zajadającemu z apetytem śniadanie. Inżynier zaczął z nich żartować.

— Na Boga, Izzart — rzekł — masz pan zupełnie zielony podbródek. Nigdy nie widziałem takiej cery.

Izzart oblał się rumieńcem. Śniada skóra była jego stałem zmartwieniem. Zmusił się do śmiechu.

— Moja babka była Hiszpanką — odpowiedział. — Wychodzi to najaw za każdym razem, kiedy mam katzenjammer. Pamiętam, raz w Harrow pobiłem kolegę za to, że nazwał mnie mieszańcem.

— Pan jest bardzo ciemny — wtrącił Hutchinson. — Czy Malajczycy nie indagują pana o mieszane pochodzenie?

— A jakże. Przeklęci zuchwalcy!

Łódź z bagażami wyruszyła o świcie celem uprzedzenia kapitana „Sułtana Ahmeda" na wypadek gdyby zawitał do ujścia rzeki wcześniej, niż to było zamierzone, że dwaj biali są w drodze. Campion i Izzart mieli wyjechać zaraz po lunchu, aby zdążyć na miejsce noclegu przed przypływem, który dzięki szczególnym warunkom topograficznym, przybiera na niektórych rzekach kolosalne rozmiary. Do tych rzek zaliczała się ta, którą płynęli. Hutchinson opowiadał im o tem zjawisku ubiegłego wieczora, i Campion, któremu było ono nieznane, bardzo się niem interesował.

— Warte widzenia — rzekł gospodarz. — Jedna z największych osobliwości tego rodzaju na Borneo.

Opowiedział im, że krajowcy czekają w łodziach na odpowiedni moment i zostają porywani w głąb rzeki z zawrotną szybkością. On sam zrobił raz taki eksperyment.

— Więcej tego nie spróbuję — rzekł. — O mało nie postradałem zmysłów.

— Mnieby się to uśmiechało — wtrącił Izzart.

— To rzecz podniecająca, naturalnie, ale kiedy się siedzi w kruchem czółnie i wie się, że jeżeli wioślarz nie uchwyci odpowiedniego momentu i człowiek wpadnie do szalejącej wody, to i święty Boże nie pomoże... nie, to dla mnie nie zabawa.

— Nie uląkłem się nigdy najgorszych nurtów — odpowiedział Campion.

— Co tam nurty! Poczekajcie, aż zobaczycie taki przypływ. Trudno o straszniejsze zjawisko. Czy wiecie, że tylko na tej jednej rzece topi się rok w rok w czasie przypływów przynajmniej dwunastu tubylców?

Prawie całe rano przepędzili na werandzie, i Hutchinson pokazał im sąd. Przed lunchem wypili parę kolejek, i Izzartowi wrócił apetyt. Gospodarz przechwalał się swoją malajską kuchnią, i kiedy na stole ukazały się dymiące półmiski, wszyscy rzucili się na nie jak głodne wilki. Hutchinson zachęcał do picia.

— Możecie się upić. Będziecie mieli czas na drzemkę.

Nie mógł się pogodzić z myślą, że goście wkrótce go opuszczą. Tak dawno nie rozmawiał z białymi ludźmi! Zachęcał ich do jedzenia. Wieczorem do-

staną tylko niechlujnej malajskiej strawy i araku Niech korzystają z okazji, póki czas. Campion wspomniał parę razy, że powinni się już zbierać do drogi, ale Hutchinson i Izzart — (ten ostatni poczuł się znów swobodny i szczęśliwy) — zapewnili go, że jeszcze jest czas. Gospodarz posłał po cenną butelkę Benedyktyna. Napoczęli ją wczoraj, niech się dzisiaj skończy!

Wkońcu udali się nad rzekę. Wszyscy byli bardzo weseli i ledwie się trzymali na nogach. Na środku łodzi wznosił się namiot, pod którym Hutchinson kazał rozłożyć materac. Załoga składała się z więźniów w ciemnych sarongach z więziennemi stemplami. Izzart i Campion podali ręce gospodarzowi i rzucili się na materac. Łódź odbiła od brzegu. Szeroka, mętna, cicha rzeka połyskiwała w słońcu jak polerowany mosiądz. Po drugiej stronie widać było zieloną gęstwinę. Chciało im się spać, ale Izzart postanowił oprzeć się senności, dopóki nie wypali cygara. Ta walka z fizycznym bezwładem sprawiała mu dziwną przyjemność. Kiedy niedopałek zaczął go parzyć w palce, rzucił go do wody.

— Utnę sobie wspaniałą drzemkę — rzekł.

— A przypływ? — zapytał Campion.

— O, nie mamy sobie czem zawracać głowy.

Ziewnął przeciągle i hałaśliwie. Członki ciążyły mu jak ołów. Przez chwilę miał świadomość rozkosznej senności, poczem zapadł w nicość. Nagle obudziło go silne szarpnięcie za ramię.

— Patrzaj pan!

— Co się, u djabła, stało?

Mówił z irytacją, napół przytomny ze snu, lecz oczy jego poszły za gestem ręki Campiona. Woddali bieliły się trzy grzywiaste fale, biegnące jedna za drugą. Nie wyglądało to groźnie.

— O, to pewnie przypływ.

— Co poczniemy teraz? — krzyknął Campion.

Izzart nie wybił się jeszcze ze snu, i niepokój starszego towarzysza wywołał na jego usta lekki uśmiech.

— Niema się czem przejmować. Ci czarni chłopcy wiedzą, jak się zachować. Co najwyżej zmoczy nas trochę i tyle.

Ale w trakcie, gdy zamieniali te słowa, przypływ runął na nich z rykiem, podobnym do ryku morza, i Izzart stwierdził, że fale były o wiele wyższe, niż mu się zdawało. Zacisnął pas, aby w razie wywrócenia się łodzi, nie zgubić w wodzie dolnej części garderoby. Fale nakryły ich momentalnie. Przed ich wzrokiem zarysowała się ściana wodna wysoka na dziesięć, dwanaście stóp, o ile strach potrafi mierzyć. Jasnem było, że żadna łódź nie oprze się takiej przeszkodzie. Pierwsza fala zmoczyła ich do suchej nitki i wypełniła łódź do połowy, za nią spadła druga. Wioślarze podnieśli krzyk. Wiosłowali jak oszaleli, podczas gdy sternik wrzeszczał rozkazy. Ale wobec tego żywiołowego przyboru byli zupełnie bezsilni i wprędce stracili władzę nad drewnianą łupiną. Pęd wody wykręcił ją bokiem i poniósł nakształt liścia w kierunku przypływu. Przeskoczyła nad nimi je-

szcze jedna ogromna fala, i zaczęli tonąć. Izzart i Campion wygramolili się z pod namiotu. Nagle poczuli, że dno zapada się w głąb, a oni zostają na wodzie. Naokoło bulgotało i szumiało. Pierwszy impuls kazał Izzartowi płynąć do brzegu, ale chłopiec Hassan krzyknął, aby się trzymał łodzi. Przez jakąś minutę wszyscy wisieli w wodzie, uczepieni do kruchej ostoi.

— Nic panu nie jest? — wrzasnął Campion.

— Nic, rozkoszuję się kąpielą — odkrzyknął Izzart.

Wyobrażał sobie, że przypływ pójdzie wgórę rzeki i za kilka minut powierzchnia jej przybierze normalny, spokojny wygląd. Zapomniał, że fale unosiły ich ze sobą. Co chwila przeskakiwały im nad głowami pierzaste bałwany. Trzymali się krawędzi łodzi, dopóki wielka fala nie wywróciła jej do góry dnem. Stracili punkt oparcia i nie mieli się już teraz czego chwycić, bo śliskie dno nie dawało żadnego zaczepienia. Ręce Izzarta osunęły się bezradnie po tłustej powierzchni. Łódź fiknęła ponownie kozła, ale nie mogło być mowy o tem, aby się jej uczepić na stałe, bo obracała się ze straszliwą regularnością, ukazując to dno, to krawędzie. Pomyślał, że dzieje się to dlatego, iż wszyscy trzymają się z jednej strony i spróbował przepchnąć część załogi na drugą. Ale nie został zrozumiany. Wszyscy wrzeszczeli jak opętani, podczas gdy atakujące ich fale ryczały z gniewną monotonnością. Za każdym razem, gdy łódź wywracała sie na nich, Izzart zostawał wepchnięty pod wo-

dę. Walka była straszna. Niebawem zaczęło mu brakować tchu i poczuł, że słabnie. Wiedział, że nie utrzyma się długo na powierzchni, lecz tak był wyczerpany, że przestał się trapić o to, co się z nim stanie. Powiedział Hassanowi, że traci siły. Uważał, że najlepiej będzie dopłynąć do brzegu, który majaczył w odległości jakich sześćdziesięciu jardów, ale chłopiec błagał go, żeby tego nie robił. Syczące, potężne fale ponosiły ich ze sobą. Łódź koziołkowała bez przerwy, a oni czepiali się jej jak wiewiórki. Izzart połknął masę wody. Gonił resztkami sił. Hassan nie mógł mu w niczem pomóc, choć obecność chłopca, który przywykł do wody od dzieciństwa i był świetnym pływakiem, dodawała mu otuchy. W pewnej chwili przemknęły obok dwa czółna z Malajczykami, płynącymi chyżo z przypływem. Wrzasnęli do nich o pomoc, lecz tamci odwrócili twarze tak, jakby ich nie widzieli. Widzieli ich jednak, tylko nie chcieli się narażać dla białych ludzi. Rozbitkowie patrzyli z rozpaczą za uciekającem bezpieczeństwem, nieczułem i obojętnem. Łódź wywróciła się ponownie. Izzart stracił dech po raz drugi. Myślał, że pierś mu pęknie pod bolesnym naporem. Był tak osłabiony, iż zwątpił, czy starczyłoby mu sił na dopłynięcie do brzegu. Nagle usłyszał krzyk:

— Izzart, Izzart! Ratunku! Ratunku!

Był to głos Campiona, i w głosie tym brzmiała niekłamana rozpacz i trwoga. Izzart doznał straszliwego wstrząśnienia. Campion? Campion? Cóż jego

obchodzi Campion? Chwycił go ślepy, zwierzęcy strach i dodał mu sił. Nie odpowiedział.

— Pomóż mi. Prędko! — zawołał do Hassana.

Hassan zrozumiał go momentalnie. Porwał pływające wpobliżu wiosło (cudowny wypadek!) i podał je swemu panu. Następnie ujął go pod ramię. Odepchnęli się od łodzi. Izzartowi serce biło jak młotem, i dusił się z braku tchu. Czuł się śmiertelnie wyczerpany. Fale uderzały go po twarzy, a brzeg wydawał się straszliwie daleki. Nie wierzył, aby mu się udało do niego dotrzeć. Nagle chłopiec krzyknął, że dotyka nogami dna. Izzart spuścił nogi, ale go nie dosięgnął i dopiero po kilku jeszcze podrzutach w kierunku brzegu poczuł pod stopami miękki muł. Dzięki Bogu! Szarpnął się kilkakrotnie i dobrnął do brzegu, zapadając się po kolana w czarnym szlamie. Obaj z Hassanem wygramolili się na płaską wyniosłość, porośniętą wysoką, sztywną trawą, i legli na ziemi jak nieżywi. Byli tak wyczerpani, że nie mogli ruszyć ani ręką, ani nogą. Od stóp do głów pokrywała ich gruba warstwa czarnego błota.

Niebawem wszakże umysł Izzarta zaczął pracować zpowrotem, i serce jego przeszył spazm nagłego bólu.

Campion utonął!

To straszne, okropne! Jak on się teraz usprawiedliwi w Kuala Solor? Cała odpowiedzialność spadnie na niego. Powinien był pamiętać o przypływie i na widok pierwszych fal kazać sternikowi zawrócić do brzegu. Nie. To nie była jego wina, tylko sterni-

ka, który znał rzekę. Dlaczegoż, na Boga, nie pomyślał wporę o niebezpieczeństwie? Nie przypuszczał chyba, że uda mu się popłynąć z tym straszliwym strumieniem? Na wspomnienie syczącej ściany wodnej Izzarta przeszły dreszcze. Musi odszukać ciało i zabrać je do Kuala Solor. Zastanawiał się, czy utonął również ktoś z załogi. Nie miał siły wykonać najlżejszego poruszenia. Zato Hassan wstał i wyżął z wody swój sarong, poczem, rozejrzawszy się po rzece, zwrócił się szybko do Izzarta:

— Tuan, płynie łódź!

Wysoka trawa przeszkodziła Izzartowi spojrzeć na wodę.

— Krzyknij do nich — rzekł

Hassan wdrapał się na drzewo, zwieszające się nad brzegiem, i jął krzyczeć i dawać znaki. Niebawem Izzart usłyszał głosy. Wywiązała się szybka rozmowa między chłopcem i wioślarzami. Hassan zeskoczył na ziemię.

— Widzieli, jakeśmy się wywrócili, tuan — rzekł — i jak tylko fala przeszła, wyjechali na rzekę. Po drugiej stronie jest długi dom. Jeżeli tuan zechce tam przejechać, to dadzą nam sarongi, nakarmią i udzielą noclegu.

Izzart obawiał się przez chwilę, że chyba nie odważy się powierzyć ponownie swoich losów zdradzieckiej rzece.

— A co się stało z drugim tuanem? — zapytał.

— Nie wiedzą.

— Jeżeli utonął, niech szukają ciała.

— Druga łódź popłynęła wgórę rzeki.

Izzart nie wiedział, co począć. Był cały zdrętwiały. Hassan położył mu rękę pod plecy i dźwignął go na nogi. Przedarli się przez gęstą trawę na skraj wody, gdzie czekało z czółnem dwóch Dajaków. Rzeka płynęła spokojnie i leniwie, jak zazwyczaj. Ogromne fale przeszły, i niktby się nie domyślił, że gładka powierzchnia burzyła się przed chwilą niczem morze w czasie burzy. Dajakowie powtórzyli mu to, co już mówili chłopcu. Izzart nie był w stanie wymówić słowa z obawy, że się rozpłacze. Hassan pomógł mu wejść do łodzi. Chciało mu się straszliwie palić, ale papierosy i zapałki zamokły. Przeprawa przez rzekę wydawała się nieskończona. Zapadła noc, i gdy dobili do brzegu, na niebie zabłysły pierwsze gwiazdy. Wysiadł na ląd, i jeden z Dajaków zaprowadził go do długiego domu. Hassan ujął za wiosło i odpłynął z drugim na rzekę. Na spotkanie Izzarta wyszło paru mężczyzn i kilkoro dzieci, i cała gromadka weszła po schodkach do domu wśród rozgwaru pytań i wykrzykników. Gościa zaprowadzono do kąta, gdzie sypiali młodzi ludzie, i przygotowano mu pośpiesznie posłanie z trzcinowych mat, na które się osunął jak martwy. Ktoś przyniósł dzbanek araku. Był to płyn, ognisty, surowy, i palił w gardle, ale rozgrzewał. Izzart zrzucił koszulę i spodnie i ubrał się w pożyczony suchy sarong. Leżąc na plecach, dostrzegł przypadkiem żółty sierp nowego księżyca, i widok ten sprawił mu przejmującą, prawie zmysłową przyjemność. Niesposób było oprzeć się myśli, że

mógł w tej chwili płynąć z prądem rzeki jako trup. Nigdy jeszcze księżyc nie wydał mu się tak piękny. Poczuł głód i poprosił o ryż. Jedna z kobiet poszła przygotować żądane jedzenie.

Izzart stał się znów sobą. Zaczął kombinować, jak się wytłumaczy w Kuala Solor. Nikt nie może mu zrobić zarzutu z tego, że zasnął. Nie był z pewnością pijany, świadkiem Hutchinson. I jak mógł przewidzieć, że sternik okaże się takim głupcem... Psie szczęście. Jednakże myśl o Campionie wprawiała go w drżenie. Przyniesiono mu miskę ryżu, i miał ją właśnie zaatakować, kiedy nadbiegł pośpiesznie młody Malajczyk.

— Tuan wrócił! — krzyknął.

— Co za tuan?

Skoczył na równe nogi. Koło wejścia słychać było wrzawę głosów. Z ciemności wyłonił się Hassan, i zabrzmiało pytanie:

— Izzart! Jesteś tutaj?

Z za Hassana wyłonił się Campion.

— No, znowu jesteśmy razem. Na Boga, a to ci była przeprawa! Pan już, widzę, podobny do człowieka. Napiłbym się czego.

Był umazany błotem, i mokre ubranie wisiało na nim w czarnych strzępach, ale humor mu dopisywał.

— Nie wiedziałem, dokąd oni mnie, do djabła, taszczą. Myślałem już, że będę zmuszony zanocować w dżungli. Myślałem, że pan utonął.

— Proszę, arak — rzekł Izzart.

Campion przyłożył usta do dzbanka, napił się, zakrztusił i znów napił.

- Pali, psiakrew, jak ogień.

Pojrzał na Izzarta i ukazał w uśmiechu rząd połamanych, żółtych zębów.

— Mógłby pan oskrobać się z tego błota.

— Później się umyję.

— Dobrze. I ja także. Niech im pan powie, żeby mi dali sarong. Jak się pan uratował?

Nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej.

— Myślałem, że już po mnie. Zawdzięczam życie tym oto dwum sportsmanom.

Pokazał wesoło głową na dwóch dajackich więźniów. Izzart przypomniał sobie niewyraźnie ich twarze.

— Czepiali się tej przeklętej łodzi na prawo i na lewo ode mnie. W pewnej chwili zdawało mi się, że tonę. Dali mi znak, że możemy zaryzykować przedarcie się do brzegu. Nie wierzyłem, żeby mi na to starczyło sił. Psiakość, nigdy w życiu nie czułem się tak obrzydliwie. Nie wiem, jak oni to zrobili, ale wyłowili nasz materac i zwinęli go w rurę. Aj, sportsmani! Nie rozumiem, dlaczego zamiast myśleć o swoim ratunku, kłopotali się o moją osobę. Podali mi ten materac. Nędzne to było jak na pas ratunkowy, ale tonący brzytwy się chwyta. Przyczepiłem się do owego materaca, i we dwóch doholowali mnie do brzegu.

Niebezpieczeństwo, którego uniknął uczyniło Campiona nadzwyczaj rozmownym. Izzart prawie go

nie słuchał. W uszach rozbrzmiewało mu z niesamowitą wyrazistością rozpaczliwe wołanie towarzysza o pomoc. Dusza rozprzęgła mu się z trwogi, a po nerwach przebiegła ślepa panika. Campion mówił bez przerwy, czyżby w celu ukrycia swoich myśli? Izzart spojrzał w niebieskie błyszczące oczy, starając się wyłowić prawdę z potoku słów. Co w tych oczach przebłyskuje, czy twarda uraza, czy cyniczna drwina? Czy wie, że on, Izzart, uciekł, pozostawiając go na los szczęścia? Młody człowiek spłonął gorącym rumieńcem. I cóżby ostatecznie mógł zrobić, gdyby nawet został? W takich razach każdy myśli o sobie, i najsłabsi idą do djabła. Ale co powiedzą w Kuala Solor, jeżeli Campion opowie im, że Izzart go opuścił i zwiał? Powinien był zostać. Żałował z całego serca, że tego nie uczynił, ale nie mógł—nie mógł. Tamto było silniejsze. Czy mógł go ktoś za to potępić? Nikt, kto widział dziką, wzburzoną rzekę. Och, ta woda i to straszliwe wyczerpanie! O mało nie płakał.

— Jeżeli pan głodny, proszę pójść za moim przykładem i zabrać się do ryżu — rzekł.

Campion rzucił się żarłocznie na jedzenie. Izzart zjadł odrobinę i stwierdził, że nie ma właściwie apetytu. Campion gadał i gadał. Izzart przysłuchiwał się podejrzliwie. Czuł, że powinien być bardziej ożywiony, i napił się araku. Zaszumiało mu w głowie.

— Będę miał w Kuala Solor piekielną przeprawę — zauważył na próbę.

— Dlaczego?

— Kazano mi się panem opiekować. Wezmą mi za złe, że o mało pana nie posłałem na dno rzeki.

— To nie była wina pana, tylko tego durnia, sternika. Ostatecznie najważniejsze jest to, żeśmy uszli z życiem. Do djaska, w pewnej chwili myślałem, że już po mnie. Krzyknąłem: ratunku! Nie wiem, czy mnie pan słyszał.

— Nie, nie słyszałem. Rzeka huczała jak morze.

— Może już pana wtedy nie było. Nie wiem dokładnie, kiedy pan odpłynął.

Izzart spojrzał bacznie na towarzysza. Czy mu się zdawało, czy naprawdę w oczach Campiona czaił się jakiś dziwny wyraz?

— Takie było zamieszanie — rzekł. — Woda mnie zalewała. Mój chłopiec podał mi wiosło. Dał mi do zrozumienia, że pan się uratował. Powiedział, że pan dotarł do brzegu.

Wiosło! Powinien był oddać wiosło Campionowi, a sam płynąć do brzegu z pomocą Hassana, świetnego pływaka. Czy mu się zdaje, że Campion znów go obrzucił przenikliwem, znaczącem spojrzeniem?

— Żałuję, że nie mogłem pana ratować — uzupełnił fałszywie.

— O, jestem pewien, że miał pan dosyć kłopotu ze swoją własną osobą — odpowiedział inżynier.

Naczelnik wioski przyniósł im araku, którym uraczyli się dosyta. Izzartowi zaszumiało w głowie. Zaproponował pójście spać. Przygotowano dla nich łóżka i rozciągnięto siatki na moskity. O świcie mieli wyruszyć w dalszą podróż. Łóżka ich stały jedno obok

drugiego. W parę minut rozległo się chrapanie Campiona, który usnął momentalnie. Młodzi ludzie z długiego domu i więźniowie z załogi łodzi gadali późno w noc. Izzarta bolała bardzo głowa, i nie mógł zebrać myśli. Kiedy o świcie Hassan przyszedł mu powiedzieć, że czas wstawać, miał wrażenie, że wcale nie spał. Ubrania ich zostały wyprane i wysuszone, ale idąc wąską ścieżką do rzeki, gdzie czekała na nich prahu, przedstawiali smętny widok. Poranek był cudowny. Wielki obszar cichej wody migotał brylantowo w pierwszych promieniach słońca.

— Boże, jakie to szczęście żyć — rzekł Campion. Był brudny i nieogolony. Oddychał całą piersią, i usta otwierały mu się w szerokim uśmiechu. Mogło się zdawać, że delektuje się powietrzem. Cieszyło go lazurowe niebo, słońce i zieloność drzew. Jakże go Izzart nienawidził! Był przekonany, że w zachowaniu się towarzysza zaszła zmiana. Nie wiedział, co począć. Miał ochotę zdać się na jego łaskę i niełaskę. Zachował się jak skończony, brutalny egoista, ale żałował teraz swego postępku. O, gdyby się to mogło powtórzyć, naprawiłby swą winę! Cóż, każdy mógł się tak skompromitować. Jeżeli go Campion wyda, będzie zgubiony. Nie będzie mógł pozostać w Sembulu. Jego haniebna sława rozniesie się po całym archipelagu Malajskim. Jeżeli zaufa Campionowi i zwierzy mu się ze wszystkiego, ten ostatni przyrzeknie mu z pewnością trzymać język za zębami. Ale czyby dotrzymał przyrzeczenia? Izzart spojrzał na inżyniera. Podstępny osobnik — może niegodny

zaufania? Co to on powiedział wczoraj wieczorem? Któż może powiedzieć, czy prawdę, czy nieprawdę? Z drugiej strony jednak kto mu dowiedzie, jemu, Izzartowi, że nie był szczerze przekonany o bezpieczeństwie Campiona? Campion może mówić, co mu się podoba, lecz będą to tylko słowa. On, Izzart, roześmieje się, wzruszy ramionami i powie, że Campion stracił głowę i sam nie wie, co mówi.

A zresztą niema pewności, czy Campion mu nie uwierzył. W tej strasznej walce o życie niesposób było uważać na innych. Kusiło go, aby wznowić temat katastrofy, bał się jednak wzbudzić podejrzenie w umyśle starszego towarzysza. Nie, lepiej milczeć! Tak będzie najbezpieczniej. A po przybyciu do Kuala Solor postara się puścić swoją wersję wpierw od Campiona.

— Byłbym najzupełniej szczęśliwy — odezwał się inżynier — gdyby nie to, że nie mam czego zakurzyć.

— Na parowcu poratują nas jakiem cuchnącem zielem.

Campion zaśmiał się krótko.

— Ludzie są niedorzecznemi istotami — rzekł.— Początkowo tak się cieszyłem, że żyję, iż nie myślałem o niczem innem, a teraz zaczynam żałować straconych notatek, fotografij i przyborów do golenia.

W umyśle Izzarta sformułowała się myśl, która kiełkowała tam od wczoraj, ale którą przez całą noc trzymał pod progiem świadomości.

— Jaka szkoda, że się nie utopił. Wtedy byłbym bezpieczny.

— Jest, jest! — krzyknął nagle Campion.

Izzart podniósł głowę. Znajdowali się już u ujścia rzeki, gdzie czekał na nich „Sułtan Ahmed". Młody człowiek zdrętwiał. Wszak kapitan jest Anglikiem, i trzeba mu będzie opowiedzieć całą awanturę. Co powie Campion? Kapitan nazywał się Bredon i był znajomym Izzarta z Kuala Solor. Miał czarne wąsy i odznaczał się małym wzrostem, żywością i energją.

— Śpieszcie się — zawołał, gdy łódź podpłynęła pod burtę. — Czekam na was od świtu.

Ale kiedy wdrapali się na pokład, spojrzał na nich z przerażeniem.

— Hallo, co wam się stało?

— Daj nam pan pić, a dowiesz się wszystkiego — odpowiedział z kwaśnym uśmiechem Campion.

— Proszę za mną.

Usiedli pod namiotem. Na stole stały szklanki, butelka whisky i woda sodowa. Kapitan wydał rozkaz, brzękły łańcuchy, i statek wypłynął na morze.

— Złapał nas przypływ — rzekł Izzart.

Czuł, że musi coś powiedzieć. W ustach miał okropnie sucho, pomimo że pił.

— Na Jowisza! Macie szczęście, żeście nie utonęli. Jak się to stało?

Zwrócił się do Izzarta, bo jego tylko znał, ale odpowiedział Campion, który zdał mu szczegółowo sprawę z całego wypadku. (Izzart słuchał z natężeniem). Opowiadając pierwszą część katastrofy, użył liczby mnogiej, doszedłszy jednak do momentu, kiedy wpadli do wody, przeszedł do pojedyńczej. Początkowo byli

o n i, teraz oni zamienili się w n i e g o. Izzart nie wiedział, czy się tem trwożyć, czy cieszyć. Dlaczegoż on o nim nie wspomina, dlaczego go pomija? Czy dlatego, że w tej śmiertelnej walce o życie myślał tylko o sobie — czy dlatego, że w i e?

— A z panem co się działo? — zapytał Bredon, zwracając się do młodszego rozbitka.

Izzart otworzył usta, aby odpowiedzieć, lecz Campion nie dopuścił go do głosu.

— Do chwili przedostania się na drugą stronę rzeki byłem przekonany, że utonął. Nie wiem, jak się uratował. Pewnie sam dobrze nie wie.

— Już byłem jedną nogą na tamtym świecie — odparł, śmiejąc się, Izzart.

Dlaczego Campion wyraził się w taki sposób? Te oczy! Sypią iskrami znaczącej wesołości. Co on myśli? Och, ta okropna niepewność! Izzart drżał ze strachu i wstydu. Zastanawiał się, czyby nie poprowadzić rozmowy w taki sposób — teraz lub później — aby móc zapytać Campiona, czy taką wersję zamierza opowiedzieć w Kuala Solor. Nie było w niej nic mogącego obudzić podejrzenia. Ale choć nikt się może nie dowie, Campion wie. Izzart poczuł w sobie morderczy impuls.

— Obaj mieliście piekielne szczęście — rzekł kapitan.

Do Kuala Solor nie było daleko. Płynąc wgórę rzeki Sembulu, Izzart obserwował posępnie brzegi. Po obu stronach woda dochodziła do obrastających pobrzeża palm i mangowców, za któremi zielenił się

gąszcz dżungli. Gdzie niegdzie między owocowemi drzewami widniały domy malajskie na palach. Gdy wpływali do przystani, było już ciemno. Goring, dygnitarz z policji, przyszedł na pokład i podał im rękę. Umówili się, że spotkają się we czterech przy obiedzie, to jest Campion, Izzart, Goring i jeszcze jeden biały, nazwiskiem Porter. Chłopcy zabrali bagaże, i dwaj rozbitkowie wysiedli na brzeg. O wpół do dziewiątej wykąpani i przebrani przyłączyli się do pozostałych.

— Co to Bredon opowiada, że o małoście się nie potopili? — rzekł Goring, wchodząc.

Izzart zarumienił się, lecz nim zdążył odpowiedzieć, Campion sypnął potokiem słów. Izzart był pewny, że go uprzedził, aby wpierw puścić swoją wersję. Twarz zapiekła go ze wstydu. Nie padło pod jego adresem żadne znaczące słowo. Ciekaw był, czy dwaj słuchacze, Goring i Porter, dziwią się, że tamten pomija go milczeniem. Przyglądał się z natężeniem Campionowi, ciągnącemu swoje opowiadanie z komicznym humorem. Inżynier nie umniejszał bynajmniej niebezpieczeństwa, ale tak przytem żartował, że słuchacze śmieli się do rozpuku.

— Jeszcze mi się teraz chce śmiać — kontynuował opowiadający — gdy pomyślę, jak wyglądałem, wygramoliwszy się na brzeg. Byłem umazany błotem na czarno od stóp do głów. Czułem, że powinienem się był odrazu wykąpać w rzece, ale wiecie, miałem już tej przeklętej rzeki po uszy i powiedziałem sobie: Nie, pozostanę brudny! Przybywszy do długiego do-

mu stwierdziłem, że Izzart był taki czarny, jak i ja. Zrozumiałem odrazu, że doznawaliśmy analogicznych wrażeń.

Tamci się śmiali, i Izzart zmuszał się do śmiechu. Zauważył, że Campion opowiedział przygodę zupełnie temi samemi słowami, co za pierwszym razem na „Sułtanie Ahmedzie". Tłumaczyło się to chyba tem, że wiedział — wiedział o wszystkiem i postanowił przedstawić incydent w taki właśnie sposób, a nie inny. Subtelna zręczność, z jaką Campion podawał fakty, pomijając to, co skompromitowałoby Izzarta, zasługiwała na miano djabelskiej. Ale z jakiej racji go osłania? Taki osobnik nie mógłby nie czuć pogardy i urazy do człowieka, który porzucił go w chwili strasznego niebezpieczeństwa. Nagle mózg Izzarta olśniła błyskawica domysłu: zachowuje prawdę dla Willisa, rezydenta! Poczuł dreszcz na myśl o konfrontacji z Willisem. Może zaprzeczyć, ale na co mu się to przyda? Willis nie taki głupi, wybada Hassana. Hassan nie zamilczy, Hassan go wyda. I on, Izzart, będzie zgubiony. Willis poradzi mu, aby wrócił do Anglji.

Dostał szalonego bólu głowy i po obiedzie odszedł do swego pokoju, chcąc obmyślić w samotności plan działania. I ni z tego, ni z owego uświadomił sobie, że strzeżona tak starannie tajemnica przestała być tajemnicą i wszyscy o niej wiedzą. Był tego pewny. Zrobiło mu się zimno, a potem gorąco. Bo skąd mu się wzięły takie błyszczące oczy i taka śniada skóra? Wszak mówi po malajsku jak tubylcy, a

dajackiego nauczył się nadzwyczajnie prędko. Naturalnie, wiedzą. Jakiż on był głupi, sądząc, że uwierzą w jego bajeczkę o hiszpańskiej prababce! Musieli śmiać się w duchu, kiedy im to opowiadał, a potem za plecami nazwali go przeklętym mieszańcem.

Nasunęła mu się nowa myśl, okropniejsza niż poprzednia. Zadał sobie pytanie, czy właśnie ta przymieszka tubylczej krwi nie sprawiła, że opuścił Campiona w chwili niebezpieczeństwa? Ostatecznie w takim momencie każdego człowieka mogła ogarnąć panika, i z jakiej racji on miał się narażać dla człowieka, który go nic nie obchodził? Czyste szaleństwo! Ale naturalnie w Kuala Solor potępią go za to bezapelacyjnie.

Położywszy się do łóżka, po długich męczarniach, zapadł w kamienną odrętwiałość, z której obudził go okropny sen. Śniło mu się, że znalazł się znów na rozhukanej rzece, że fale oderwały go od łodzi i że nad jego głową zamknęła się czarna głębia. Niesposób było myśleć o dalszym spoczynku. Tak, jedyne wyjście to iść do Willisa i opowiedzieć rzecz po swojemu, wyprzedzając Campiona. Obmyśli starannie, co powie i jakiemi słowami.

Wstał wcześnie, i w celu uniknięcia spotkania z Campionem wyszedł bez śniadania. Spacerował po drodze w oczekiwaniu na otwarcie rezydentury. O odpowiedniej godzinie kazał się zameldować i został wprowadzony do gabinetu Willisa. Rezydent był to starszy człowiek, małego wzrostu, z rzadkiemi siwemi włosami i długą żółtą twarzą.

— Cieszę się, że widzę pana całym i zdrowym — rzekł, podając gościowi rękę. — Słyszę, że o mało pan nie utonął. Co to takiego było?

Izzart w czystem płóciennem ubraniu i niepokalanym korku przedstawiał piękny okaz młodego mężczyzny. Przystrzyżone wąsy i gładko zaczesane czarne włosy świadczyły o starannie zrobionej toalecie. Postawę miał prostą, żołnierską.

— Przyszedłem zdać panu natychmiastową relację ze wszystkiego, zważywszy na to, że uczynił mnie pan odpowiedzialnym za bezpieczeństwo Campiona.

— Słucham.

Izzart opowiedział o przebiegu katastrofy, zlekceważył niebezpieczeństwo i dał Willisowi do zrozumienia, że nie było ono wielkie. Za późno wyruszyli w drogę i spotkali się z falami.

— Nagliłem Campiona, żeby się śpieszył, ale nie mogłem go oderwać od butelki. Nie chciało mu się wstać od stołu.

— Czy był pod dobrą datą?

— Nie wiem — odparł z dobrodusznym uśmiechem Izzart. — W każdym razie nie powiem, żeby był zupełnie trzeźwy.

Opowiadał dalej. Zaznaczył zręcznie, że Campion stracił głowę. Naturalnie, dla człowieka, nieumiejącego dobrze pływać, sytuacja była niepewna. On, Izzart, bardziej się lękał o niego niż o siebie. Wiedział, że jedyną szansą było zachowanie zimnej krwi. Ale z chwilą, gdy wpadli do wody, zauważył, że Campion uległ panice

— Chyba nie ma mu pan tego za złe — rzekł rezydent.

— Naturalnie, zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, aby go uratować, ale to „wszystko" było bardzo skromne siłą rzeczy.

— Najważniejsze jest to, że żaden z was nie zginął. Żleby było z nami wszystkimi, gdyby Campion utonął.

— Uważałem, że moim obowiązkiem było przyjść do pana przed Campionem. Mam wrażenie, że on ma skłonność do niepotrzebnej przesady. Ubarwia rzeczy na czarno.

— Ogólnie biorąc, wasze opowiadania zgadzają się — zauważył z uśmieszkiem Willis.

Izzart zmartwiał.

— Nie widział się pan dzisiaj z Campionem? Słyszałem od Goringa, że mieliście jakąś katastrofę, i wpadłem do was wieczorem, idąc z fortu. Pan już był w łóżku.

Izzart poczuł, że drżą pod nim kolana. Uczynił wielki wysiłek, aby zachować przytomność umysłu.

— A propos, pan się uratował pierwszy?

— Nie wiem, panie rezydencie. Wśród ogólnego zamętu trudno było coś zauważyć.

— Musiał pan być pierwszy, skoro on dostał się na drugą stronę po panu

— Chyba że tak.

— Dobrze. Dziękuję, że pan do mnie przyszedł— rzekł Willis, wstając z krzesła.

Jednocześnie potrącił łokciem kilka książek, któ-

re spadły na ziemię. Niespodziewany hałas przyprawił Izzarta o gwałtowne wzdrygnięcie. Rezydent popatrzył nań badawczo.

— Pan, jak widzę, jest w niezgodzie z nerwami.

Izzart nie zdołał opanować drżenia.

— Przepraszam pana — mruknął.

— Rozumiem, że musiał pan doznać wstrząśnienia. Potrzebny panu kilkodniowy wypoczynek. Radziłbym zwrócić się do doktora. Dałby panu coś na uspokojenie.

— Bardzo źle dziś spałem.

Rezydent skinął głową jakby na znak, że rozumie. Izzart opuścił gabinet. Za drzwiami spotkał znajomego, który mu powinszował cudownego ocalenia. Wszyscy już o tem wiedzą! Powrócił na swą kwaterę. W drodze przypominał sobie frazesy, wygłoszone przed rezydentem. Czy Campion opowiedział to samo? Że też rezydent wpierw się z nim widział! Jaki on, Izzart, był głupi, żeby się tak wcześnie położyć! Nie powinien był spuszczać Campiona z oczu ani na chwilę. Dlaczego rezydent nie powiedział mu odrazu, że już o wszystkiem wie? Izzart przeklinał siebie za to, co naopowiadał o Campionie, że był pijany i że stracił głowę. Powiedział to w tym celu, aby go zdyskredytować, ale teraz wiedział, że postąpił głupio. Co znaczyło powiedzenie Willisa, że on pierwszy się uratował, a Campion drugi? Może trzyma stronę starego łotra, może zechce przeprowadzić dochodzenia! O, Willis jest przebiegły! Ale co właściwie opowiedział Campion? Musi się tego dowiedzieć

za wszelką cenę. Izzart czuł w głowie piekielny zamęt, lecz postanowił zachować zimną krew. Czuł się jak tropione zwierzę. Nie wierzył w sympatję Willisa dla siebie. Kilka razy zwierzchnik zganił go za niedbalstwo. Może czeka, aż zbierze wszystkie fakty. Izzart bliski był histerji.

Zastał Campiona rozciągniętego na leżaku i zatopionego w gazetach, które przyszły podczas ich nieobecności. Na widok małego, obdartego człowieczka, który miał go w ręku, poczuł przypływ ślepej nienawiści.

— Hallo — rzekł inżynier, podnosząc oczy — gdzie to pan wędrował?

Izzartowi zdawało się, że dostrzega w niebieskich oczach iskrę ironji. Zacisnął pięści i wstrzymał od-

— Co pan o mnie nagadał Willisowi? — rzucił znienacka.

Ton, jakim wygłosił to niespodziewane pytanie, był tak cierpki, że Campion spojrzał nań ze zdziwieniem.

— Nic takiego o panu nie opowiadałem. A co się stało?

— Był tutaj wczoraj wieczorem.

Izzart przypatrywał się z natężeniem swemu imaginacyjnemu wrogowi. Intensywne pragnienie odgadnięcia jego myśli ściągnęło mu czoło w gniewną fałdę.

— Powiedziałem mu, że położyłeś się pan do łóżka z powodu silnego bólu głowy. Ciekaw był naszej przygody.

— Właśnie od niego wracam.

Izzart krążył po dużym, cienistym pokoju. Pomimo wczesnej godziny panował wielki upał. Czuł, że wpadł w pułapkę. Wstrząsała nim ślepa wściekłość. Miał ochotę porwać Campiona za gardło i udusić. Z drugiej strony jednak nieświadomość tego, z czem chce walczyć, czyniła go bezsilnym. Był znużony, chory i zdenerwowany do niemożliwości. Nagle gniew, który go jako tako podtrzymywał, ustąpił miejsca zwątpieniu i rozpaczy zupełnie tak, jakby krew w jego żyłach zamieniła się w wodę. Serce w nim zdrętwiało. Nie mógł opanować drżenia kolan. Czuł, że lada moment zacznie płakać. Ogarnął go straszny żal nad samym sobą.

— Obym się nigdy z panem nie zetknął, przeklęty człowieku! — wykrzyknął boleśnie.

— Co się panu stało? — zapytał zdumiony Campion.

— Och, dość tego udawania. Udajemy od dwóch dni, i mam tej komedji po uszy.

Głos jego stał się przeraźliwy i piskliwy, co stanowiło dziwny kontrast z potężną budową.

— Mam tej komedji po uszy. Uciekłem. Porzuciłem pana z myślą, że pan utonie. Postąpiłem jak podły tchórz. Wiem o tem. Ale to było nad moje siły.

Campion wstał wolno z leżaka.

— O czem pan mówi?

W słowach jego zabrzmiał ton tak szczerego zdumienia, że Izzart drgnął i przez plecy przebiegł mu zimny dreszcz.

— Kiedy pan zawołał o ratunek, porwał mnie paniczny strach. Chwyciłem się wiosła i kazałem Hassanowi holować się do brzegu.

— I postąpił pan, jak tylko było można najrozsądniej.

— Nie mogłem panu pomóc. W żaden sposób.

— Ależ naturalnie. Nie powinienem był krzyczeć. Traciłem niepotrzebnie dech, i to mnie mogło zgubić.

— Więc pan nie wiedział?

— Kiedy mi chłopcy podali materac, myślałem, że pan czepia się jeszcze łodzi. Myślałem, że zostawiam pana za sobą.

Izzart porwał się za głowę i wydał chrapliwy krzyk rozpaczy.

— Boże, co ja, głupi, zrobiłem!

Dwaj ludzie wpatrywali się w siebie przez chwilę w głuchem milczeniu.

— Co pan teraz zrobi? — zapytał wkońcu Izzart.

— Nie trap się, drogi chłopcze. Za dobrze wiem, co to strach, aby kogoś za to potępiać. Nie powiem żywej duszy.

— Tak, ale pan sam wie.

— Może mi pan zaufać. Zresztą skończyłem z tem, co do mnie należało, i wracam do kraju. — Milczał przez kilka sekund, przyglądając się Izzartowi. — Chciałem tylko poprosić pana o jedną łaskę. Zostawiam tu sporo przyjaciół i jestem wrażliwy na opinję. Niech pan będzie tak dobry i, opowiadając o naszej przygodzie, nie daje do zrozumienia, że za-

chowałem się tchórzliwie. Gotowiby tu pomyśleć, że naprawdę straciłem głowę.

Izzart oblał się purpurowym rumieńcem. Przypomniał sobie, co powiedział rezydentowi. Jakim sposobem Campion odgadł jego myśli? Przełknął ślinę.

— Dlaczego mnie pan o to posądza?

Campion zarechotał dobrodusznie, i w jego niebieskich oczach zamigotały wesołe iskierki.

— Mieszana krew — odpowiedział i, pokazując w szerokim uśmiechu połamane, żółte zęby, dodał: — Może cygarko, kochany chłopcze?

List

Na dworze na bulwarze prażyło upalne słońce. Jezdnią płynął potok autobusów, taksówek, samochodów, prywatnych i ciężarowych. Szoferzy trąbili przeraźliwie, powiększając ogólny zamęt. Przez tłum przeciskały się zwinnie riksze, zadyszani kulisi nawoływali się przeraźliwymi głosami. Inni dźwigający ciężkie paki towarów, pomykali szybkiego kłusa, wrzeszcząc do przechodniów, aby im ustępowali z drogi. Wędrowni przekupnie zachwalali hałaśliwie swoje towary. Singapore jest miejscem, gdzie można spotkać sto narodowości. Mieszają się tu ludzie wszystkich ras i kolorów skóry, czarni Tamile, żółci Chińczycy, brunatni Malajczycy, Armeńczycy, Żydzi i Bengalczycy.

W przeiwstawieniu do ulicznego żaru w biurze p. p. Ripley'a, Joyce'a i Naylora panował miły chłód; na dworze jaśniało oślepiające słońce, i huczała piekielna wrzawa; tu czaił się kojący półcień, i drzemała pogodna cisza.

Pan Joyce siedział w swoim prywatnym pokoju

przy stole koło elektrycznego wachlarza. Rozparty wygodnie w fotelu, opierał się łokciami o poręcze w taki sposób, że palce obu rąk zachodziły jedne na drugie. Oczy jego spoczywały na dużej półce, wypełnionej zniszczonemi foljałami. Na wierzchu półki stały pudełka z lakierowanej blachy z wymalowanemi nazwiskami klientów.

Zapukano do drzwi.

— Proszę.

W progu stanął praktykant Chińczyk w eleganckich, białych płóciennych spodniach.

— Przyszedł pan Crosbie.

Młody człowiek mówił piękną angielszczyzną, akcentując starannie każdy wyraz, i pan Joyce zdumiewał się zasobności jego słownika. Ong Chi Seng pochodził z Kantonu, a prawo studjował w Gray's Inn. Obecnie praktykował u pp. Ripley'a, Joyce'a i Naylor'a w celu przygotowania się do samodzielnej pracy adwokackiej. Był pracowity, uprzejmy i porządny.

— Wprowadź go pan — rzekł pryncypał.

Wstał, podał rękę interesantowi i poprosił go, aby usiadł. Na twarz nowoprzybyłego padało światło. Twarz pana Joyce'a pozostała w cieniu. Był z natury małomówny i teraz, nim zaczął mówić, przyglądał się przez minutę Robertowi Crosbie w zupełnem milczeniu. Crosbie był to ogromny mężczyzna, przeszło sześć stóp wysoki, muskularny i barczysty Jako plantator gumy był ciągle w ruchu, doglądając swej majętności. Wieczorami grywał dla odpoczynku w tennisa. Twarz miał opaloną na ciemny bronz. Wło-

chate ręce i nogi, obute w niezgrabne buciska, odznaczały się ogromnemi rozmiarami. Pan Joyce pomyślał odniechcenia, że uderzenie tej potężnej pięści zabiłoby z łatwością kruchego Tamila. Ale w błękitnych oczach nie czaiły się żadne srogie błyski, spoglądały one łagodnie i ufnie, podczas gdy twarz o pospolitych, grubych rysach tchnęła otwartością, szczerością i uczciwością. W tej chwili jednak malował się na niej wyraz głębokiej udręki. Była mizerna i ściągnięta.

— Wygląda pan tak, jakby pan przynajmniej przez dwie noce nie spał — zauważył adwokat.

— Bo nie spałem.

Pan Joyce zwrócił teraz uwagę na stary pilśniowy kapelusz o podwónych, szerokich skrzydłach, który Crosbie położył na stole, poczem oczy jego przeniosły się na krótkie spodnie gościa, koloru khaki, odsłaniające czerwone, włochate uda, na koszulę tennisową, rozpiętą u szyi (krawata nie było wcale) i na brudną kurtę khaki z zawiniętemi rękawami. Klient wyglądał tak, jakby świeżo wrócił z obchodu plantacji. Pan Joyce zmtrszczył lekko czoło.

— Nie wolno panu opuszczać się do tego stopnia. Nie wolno tracić głowy.

— O, nic mi nie jest.

— Czy widział się pan dziś z żoną?

— Nie. Mam pozwolenie na popołudnie. Panie kochany, co to za hańba, że ją aresztowali.

— Musieli to zrobić — odpowiedział równym, łagodnym tonem adwokat.

— Myślałem, że ją wypuszczą za poręczeniem.

— Oskarżenie jest bardzo ciężkie.

— Okrutne i niesprawiedliwe. Każda przyzwoita kobieta postąpiłaby tak samo. Tylko, że na dziesięć dziewięciu zabrakłoby odwagi. Leslie jest najlepszą kobietą na świecie. Nie wyrządziłaby krzywdy nawet musze. Psiakrew, byłem przez dwanaście lat jej mężem i jeszczebym jej nie znał? Jak mi Bóg miły, gdyby mi ten człowiek wpadł w ręce żywy, skręciłbym mu kark bez najmniejszego wahania. Zabiłbym jak psa. I panby tak samo postąpił.

— Panie drogi, wszyscy są po pańskiej stronie. Nie słyszałem, żeby kto powiedział jedno dobre słowo o Hammondzie. Uratujemy ją, to nie ulega wątpliwości. Sąd wyda wyrok uniewinniający. Co do tego może pan być zupełnie spokojny.

— Toż to czysta farsa — żachnął się gwałtownie Crosbie. — Przedewszystkiem nie powinni jej byli aresztować i teraz po tych wszystkich okropnych przejściach oddają mi biedaczkę pod sąd. Wszyscy mążczyźni i kobiety, z którymi rozmawiałem w Singapore, twierdzą, że czyn Leslie jest absolutnie usprawiedliwiony. To straszne, żeby ona tyle tygodni siedziała w więzieniu.

— Prawo jest prawem. Ostatecznie przyznała się, że zabiła człowieka. To okropna rzecz, i bardzo mi państwa żal, jej i pana.

— Co tam ja — przerwał Crosbie.

— Ale fakt pozostaje faktem, że zostało popeł-

nione morderstwo, i w cywilizowanych krajach sąd jest nieunikniony.

— Czy to morderstwo tępić szkodliwe robactwo? Zastrzeliła go tak samo, jakby zastrzeliła wściekłego psa.

Pan Joyce cofnął się w głąb krzesła i złączył końce palców obu rąk tak, jak poprzednio. Mała konstrukcja, jaka się w ten sposób utworzyła, podobna była do rusztowania dachu. Przez chwilę milczał.

— Jako pański doradca prawny — odezwał się wkońcu swym równym głosem, mierząc klienta chłodnemi bronzowemi oczami — uważam sobie za obowiązek zwrócić panu uwagę na pewien punkt, który mnie trochę niepokoi. Gdyby żona pańska strzeliła do Hammonda tylko raz, cała sprawa przedstawiałaby się zupełnie czysto. Na nieszczęście dała sześć strzałów.

— Wytłumaczyła się z tego. W danych okolicznościach każdyby tak postąpił.

— Tak — odrzekł pan Joyce — i ja jej tłumaczenie uważam za bardzo racjonalne. Ale na nic się nie przyda zamykać oczy na fakty. Zawsze jest dobrze starać się spojrzeć na rzeczy oczami postronnego człowieka, i muszę przyznać, że gdybym był prokuratorem, to biłbym właśnie na tę stronę sprawy.

— Panie kochany, toż to czysty idjotyzm!

Adwokat obrzucił Roberta Crosbie bystrem spojrzeniem, przyczem na jego ładnych ustach ukazał się cień uśmiechu. Crosbie był zacnym człowiekiem, ale trudno go było nazwać inteligentnym.

— Sądzę, że nie warto się tem prz[illegible]wa — rzekł prawnik. — Chciałem poprostu zwrócić panu na to uwagę. Niedługo się ta sprawa rozstrzygnie, i wtedy radziłbym panu wyjechać z żoną w podróż i starać się o wszystkiem zapomnieć. Pomimo że jesteśmy nieomal święcie przekonani, że żona pańska zostanie uniewinniona, przejścia tego rodzaju rozprzęgają człowieka do niemożliwości, i obojgu państwu będzie potrzebny wypoczynek.

Po raz pierwszy od chwili wejścia do pokoju Crosbie uśmiechnął się, i uśmiech ten dziwnie przeobraził jego twarz. Gdy się uśmiechał, zapominało się o jego nieokrzesanej prostocie i widziało tylko dobroć duszy.

— Kto wie, czy mnie nie będzie on więcej potrzebny niż Leslie. Jak ona cudownie znosi to okropne nieszczęście. Jak Boga kocham, dzielna kobieta!

— Tak, i mnie również zaimponowała jej zimna krew — odparł pan Joyce. — Nigdybym jej nie posądzał o takie opanowanie.

Jako obrońca pani Crosbie zmuszony był od chwili jej aresztowania odbyć z nią kilka narad. Jakkolwiek ze wszystkich stron starano się ulżyć jej ciężkiej sytuacji, fakt pozostawał faktem, że siedziała w więzieniu za morderstwo, oczekując na sprawę, i nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Jednakże zdawała się znosić swój los z najzupełniejszą pogodą ducha. Czytała, używała spacerów w dozwolonych ramach i za specjalnem pozwoleniem pracowała nad koronką do pod-

szewki, która to robota stanowiła dla niej urozmaicenie długich godzin samotności. Przy pierwszej wizycie pan Joyce zastał ją ubraną nadzwyczaj starannie. Miała na sobie elegancką skromną letnią suknię, była starannie uczesana, i paznokcie jej świadczyły, że zrobiła świeżo manicure. Zachowywała się spokojnie, a nawet żartowała z drobnych niewygód, na jakie narażał ją pobyt w więzieniu. O swojej tragedji wyrażała się poprostu zdawkowo. Panu Joyce'owi nasunęła się refleksja, że tylko dobre wychowanie przeszkodziło jej dopatrzeć się czegoś groteskowego w sytuacji, która była więcej niż poważna. Zdziwił się, bo nie podejrzewał jej nigdy o zmysł humoru.

Znał ją od dłuższego czasu. Przyjeżdżając do Singapore, wstępowała zawsze do jego żony i bywała u nich na obiadach. Raz nawet czy dwa przepędziła z nimi week-end w ich bungalowie nad morzem. Żona pana Joyce'a bawiła u niej dwa tygodnie na plantacji i spotkała kilka razy Geoffrey Hammonda. Obie pary były jeżeli nie w zażyłych, to w przyjacielskich stosunkach, to też zaraz po katastrofie Robert Crosbie popędził do Singapore w celu powierzenia przyjacielowi obrony swej nieszczęśliwej żony.

To, co mu opowiedziała przy pierwszem widzeniu, powtarzała odtąd słowo w słowo, nie zmieniając najdrobniejszego szczegółu. W parę godzin po tragedji była taka sama spokojna, jak i teraz. Opowiedziała ją logicznie, po porządku, opanowanym, równym głosem, i o jej wzburzeniu świadczył jedynie lekki rumieniec, który wypłynął na jej twarz, gdy opisy-

wała jakiś epizod. Była ostatnią kobietą, jakiej mogła się zdarzyć tego rodzaju katastrofa. Miała lat przeszło trzydzieści, była wątła, ani wysoka, ani niska i raczej wdzięczna niż ładna. Ręce jej i kostki u nóg uderzały delikatnością. Była bardzo chuda; przez białą skórę zaznaczały się kości rąk, a na wierzchu rysowały się duże niebieskie żyłki. Twarz miała bezbarwną, zlekka ziemistą, a wargi bez kropli krwi. Nie zauważało się koloru jej oczu. Zato miała śliczne włosy, bardzo bujne, trochę faliste, o barwie jasnego bronzu. Włosy te przy pewnych staraniach wyglądałyby wspaniale, ale trudno było sobie wyobrazić, aby pani Crosbie mogła się uciekać do toaletowych sztuczek. Była sobie spokojną, sympatyczną, bezpretensjonalną kobietą. Miała pociągający sposób bycia i, jeżeli nie była popularna, to tylko z racji nieśmiałości. Było to zrozumiałe, zważywszy na to, że na plantacjach trudno o szerokie stosunki towarzyskie. Jednakże we własnym domu wśród ludzi, których znała, umiała być na swój cichy sposób czarująca. Pani Joyce po dwutygodniowym u niej pobycie powiedziała mężowi, że Leslie jest w roli pani domu ogromnie miła, że więcej się kryje pod jej skromną powierzchownością, niż ludzie przypuszczają, i że przy bliższem poznaniu zdumiewa oczytaniem i jest ogromnie interesująca.

Tak. Była ostatnią kobietą na świecie, zdolną do popełnienia morderstwa.

Pan Joyce odprawił Roberta Crosbie z tak pocieszającemi słowami, jakie tylko mógł znaleźć, i po

odejściu klienta, raz jeszcze przerzucił akta sprawy. Była to mechaniczna czynność, bo umiał wszystko napamięć. Sprawa była sensacją dnia. Dyskutowano o niej we wszystkich klubach, przy wszystkich stołach obiadowych, na całym półwyspie od Singapore do Penangu. Fakty, podane przez panią Crosbie, były proste. Mąż pojechał w interesie do Singapore, a ona została w domu sama. Zjadła obiad późno, bo na kwadrans przed dziewiątą, poczem zasiadła w bawialni ze swoją ulubioną koronkową robotą w ręku. Bawialnia wychodziła na werandę. W bungalowie nie było nikogo, gdyż służba odeszła na noc do swoich pomieszczeń, znajdujących się wtyle zabudowań. Zdziwiła się, usłyszawszy kroki na żwirowanej ścieżce ogrodu, kroki białego człowieka, jako że krajowcy chodzą boso. Nie słyszała zajeżdżającego samochodu i nie mogła sobie wyobrazić, ktoby mógł do niej zawitać o tak późnej godzinie. Tajemniczy gość wszedł po schodkach, prowadzących do bungalowu, przeszedł przez werandę i stanął w drzwiach pokoju, w którym siedziała. W pierwszej chwili nie poznała go. Lampa była przysłonięta abażurem, a on stał w cieniu.

— Czy mogę wejść? — zapytał.

Nie poznała nawet głosu.

— Kto? — zapytała.

Do robót używała okularów, które teraz zdjęła

— Geoffrey Hammond.

— Ależ proszę. Może się pan czego napije?

Wstała i podała mu rękę. Była trochę zdziwio-

na jego wizytą, bo jakkolwiek byli sąsiadami, ani ona, ani Robert nie utrzymywali z nim bliższych stosunków. Ostatnio nie widziała go przez kilka tygodni. Był administratorem plantacji gumy, odległej od ich siedziby o osiem mil. Zastanawiała się, dlaczego wybrał się do nich o tak późnej godzinie.

— Roberta niema — rzekła. — Musiał jechać na noc do Singapore.

Przybysz uważał widocznie, że powinien się usprawiedliwić ze swej dziwnej wizyty, bo powiedział:

— Przepraszam panią. Taki się dzisiaj czułem samotny, że postanowiłem wpaść tutaj i zobaczyć, co u państwa słychać.

— Jakim sposobem pan się do nas dostał? Nie słyszałam wcale samochodu.

— Zostawiłem go na szosie. Myślałem, że może państwo już śpią, i nie chciałem budzić.

Brzmiało to zupełnie naturalnie. Plantatorzy wstają o świcie w celu dopatrzenia robót i radzi są, jeżeli mogą się położyć zaraz po obiedzie. W samej rzeczy samochód Hammonda znaleziono na drugi dzień w odległości ćwierci mili od bungalowu.

Z powodu nieobecności Roberta nie było pod ręką ani whisky, ani wody sodowej. Leslie, nie wołając chłopca, który prawdopodobnie spał, poszła po to sama. Gość przyrządził sobie mieszankę i nabił fajkę.

Geoffrey Hammond miał w kolonji cały zastęp przyjaciół. Miał koło czterdziestu lat, ale przybył w te strony jako młody chłopak. W chwili wybuchu

wojny zgłosił się jeden z pierwszych na ochotnika i okrył się chwałą. Rana w kolano uczyniła go inwalidą. Po dwóch latach wyszedł z wojska i powrócił na archipelag Malajski z krzyżem i orderem. Grał w bilard tak, jak mało kto w kolonji. Niegdyś był pierwszorzędnym tancerzem i grał świetnie w tennisa. Później nie mógł już tańczyć, i jego tennis ucierpiał bardzo z powodu sztywnego kolana, ale pomimo to cieszył się wielką popularnością i był ogólnie lubiany. Był wysoki, bardzo przystojny, miał pociągające niebieskie oczy i piękne czarne kręcone włosy. Starsze pokolenie wytykało mu jedną wadę, mianowicie, że za bardzo lubił kobiety, to też po katastrofie ten i ów potrząsał głową, zaręczając, iż zawsze wiedział, że to się tak skończy.

Zaczął opowiadać Leslie o miejscowych sprawach, o bliskich wyścigach w Singapore, o cenach na gumę i swoich widokach upolowania tygrysa, który pokazał się ostatnio w okolicy. Młoda kobieta, pragnąc skończyć jak najprędzej koronkę, którą chciała posłać matce na urodziny, włożyła zpowrotem okulary i przyciągnęła do swego krzesła stolik, na którym leżała poduszka.

— Poco pani nosi te okropne rogowe okulary? — zapytał. — Do czego to podobne, żeby ładna kobieta starała się oszpecać.

Uwaga ta zdziwiła ją i zaskoczyła. Nigdy przedtem nie mówił do niej takim tonem. Pomyślała, że najlepiej będzie, jak potraktuje go żartobliwie.

— O, pan wie chyba, że nie mam pretensyj do

urody i zresztą — proszę się nie obrazić — wszystko mi jedno, czy mnie pan uważa za brzydką, czy za ładną.

— Nie uważam pani za brzydką. Uważam panią za czarującą osóbkę.

— Bardzo mi przyjemnie — odpowiedziała ironicznie. — To dowodzi, że szwankuje pan na umyśle.

Zachichotał. Wstał i przesiadł się na inne krzesło, stojące obok jej fotelika.

— Nie ośmieli się pani chyba zaprzeczyć, że trudno o piękniejsze rączki na całym świecie. To byłaby bezczelność — odpowiedział.

Zrobił taki gest, jakby chciał ją ująć za rękę. Dała mu lekkiego klapsa.

— Niech pan nie mówi głupstw. Proszę przenieść się zpowrotem na tamto krzesło i zaprzestać tej niewczesnej galanterji, bo inaczej każę panu stąd wyjść.

Nie poruszył się.

— Czy pani nie wie, że kocham się w pani do szaleństwa? — zapytał.

I to oświadczenie nie wytrąciło jej z równowagi.

— Nie wiem. Nie wierzę panu, i nawet, gdyby to była prawda, nie chciałabym o niej słyszeć.

Zachowanie się pięknego sąsiada zdziwiło ją tem więcej, że chociaż znali się od siedmiu lat, nigdy nie zwracał na nią uwagi. Gdy wrócił z wojny, widywała go dosyć często, i raz, kiedy był chory, Robert pojechał po niego i przywiózł go do ich bungalowu swoim samochodem. Zabawił wtedy u nich dwa tygodnie. Ale zainteresowania ich były różne, i znajomość nie

przeszła nigdy w stadjum przyjaźni. Przez ostatnie parę lat widywali się bardzo rzadko. Od czasu do czasu przyjeżdżał na tennisa, od czasu do czasu spotykali go u znajomych, lecz nieraz zdarzało się, że nie widzieli go przez cały miesiąc.

Nalał sobie ponownie whisky i wody sodowej. Leslie zastanawiała się, czy przedtem sobie nie podchmielił. Wiało od niego czemś zagadkowem. Poczuła, że zaczyna ją ogarniać niepokój. Patrzyła z niezadowoleniem, jak pił.

— Na pana miejscu nie piłabym tak dużo — rzekła tak samo żartobliwie, jak poprzednio.

Wypróżnił szklankę i postawił ją na stole.

— Czy pani sądzi, że mówię jej takie rzeczy dlatego, że jestem pijany? — zapytał znienacka.

— Najwidoczniej.

— Nieprawda. Pokochałem panią od pierwszego wejrzenia, ale dławiłem w sobie to uczucie tak długo, jak tylko mogłem, dopóki mi starczyło sił. Dłużej tego nie wytrzymam. Kocham panią, kocham, kocham!

Wstała i złożyła starannie robotę.

— Dobranoc — rzekła.

— Kiedy ja nie odchodzę.

Zaczęła tracić panowanie nad sobą.

— Ależ, nędzny warjacie, czy pan nie wie, że kocham Roberta, a nawet, gdybym go nie kochała, to pan byłby ostatnim człowiekiem, którym mogłabym się zająć.

— Mniejsza z tem. Roberta niema.

— Jeżeli pan w tej chwili nie wyjdzie, zawołam chłopców i każe pana wyrzucić.

— Nie usłyszą.

Ogarnął ją wielki gniew. Chciała wyjść na werandę, z którejby ją z pewnością usłyszano, ale on, przewidując jej zamiary, przytrzymał ją za ramię.

— Proszę mnie puścić! — krzyknęła z furją.

— Ani myślę. Mam cię nareszcie.

Szarpnęła się i krzyknęła:

— Chłopcy, chłopcy!

Lecz on błyskawicznym ruchem położył jej rękę na ustach i, nim się spostrzegła, co się dzieje, porwał ją w ramiona i zaczął obsypywać namiętnemi pocałunkami. Szamotała się jak szalona, uchylając wargi przed jego palącemi ustami.

— Nie, nie, nie — krzyczała. — Puść mnie pan. Nie chcę!

To, co się potem stało, zlało się w jej pamięci w jakiś mętny koszmar. Wszystko, co powiedział przedtem, pamiętała doskonale, to, co mówił później, obijało się o jej uszy nie bezpośrednio, lecz przez mgłę oburzenia i trwogi. Zdawał się ją błagać o wzajemność, wybuchał gwałtownemi zapewnieniami miłości i przez cały czas trzymał ją w żelaznym uścisku. Nie mogła mu się wyrwać, bo był ogromnym, silnym mężczyzną. Ręce miała przyciśnięte do boków. Na nic się nie zdał rozpaczliwy opór, czuła, że słabnie. Bała się, że zemdleje. Jego gorący oddech przyprawiał ją o zawrót głowy. Całował ją po oczach, po ustach, po policzkach i po włosach. Dusiła się for-

malnie w obręczy jego ramion. Podniósł ją z ziemi. Próbowała kopać, ale on przycisnął je jeszcze mocniej. Czuła, że ją gdzieś niesie. Przestał mówić. Zauważyła, że był bardzo blady i że oczy płonęły mu jak węgle. Niósł ją do sypialnego pokoju. W tej chwili przestał być cywilizowanym człowiekiem i zamienił się w zwierzę. Idąc, potknął się o stół, który stał na środku pokoju. Sztywne kolano sprawiało, że był dość niezręczny, to też, trzymając ją w ramonach, runął na ziemię. Wyrwała mu się błyskawicznie i skoczyła za sofę. On zerwał się prawie momentalnie i skoczył za nią. Na biurku leżał rewolwer. Leslie nie była z natury bojaźliwa, ale była sama w domu i postanowiła wziąć rewolwer do sypialni. Dlatego leżał na biurku. Strach odejmował jej przytomność umysłu. Nie wiedziała, co robi. Usłyszała wystrzał. Hammond zachwiał się i krzyknął. Powiedział coś, czego nie zrozumiała, poczem wypadł z pokoju na werandę. Ona pobiegła za nim, tak, musiała pobiec, chociaż nic nie pamięta — wpadła w szał. Tak. Biegła za nim, strzelając automatycznie, dopóki nie zabrakło nabojów. Na werandzie upadł na ziemię i znieruchomiał odrazu w kałuży krwi.

Kiedy zaalarmowani strzałami chłopcy znaleźli się na miejscu mordu, Leslie stała nad zabitym z rewolwerem w ręku. Przez chwilę patrzyła na nich jak nieprzytomna, oni zaś zbili się w przerażoną, bezładną gromadę. Rewolwer wypadł jej z ręki. Bez słowa weszła do bawialni. Widzieli, jak weszła do swej sypialni i przekręciła klucz w zamku. Nie od-

ważyli się dotknąć martwego ciała, oglądali je z przerażeniem, rozmawiając ze sobą urywanym szeptem. Pierwszy opamiętał się najstarszy służący. Służył u nich przez wiele lat, był Chińczykiem i odznaczał się przytomnością umysłu. Robert pojechał do Singapore motocyklem. Samochód stał w garażu. Chińczyk kazał go wyprowadzić. Nie było nic lepszego do zrobienia, jak dać znać policji. Podniósł rewolwer i włożył go do kieszeni. Inspektor policji, nazwiskiem Withers, mieszkał na skraju najbliższego miasta, odległego o trzydzieści pięć mil drogi. Upłynęło półtorej godzny, nim zajechali na miejsce. Wszyscy spali. Trzeba było narobić alarmu. Niebawem wyszedł do nich Withers, i powiedzieli mu, o co chodzi. Chińczyk na dowód prawdy wręczył mu rewolwer. Inspektor poszedł się ubrać, posłał po auto i za chwilę gnał za nimi po pustej szosie. Gdy dojeżdżali do bungalowu, na niebie różowiła się jutrzenka. Inspektor wbiegł po stopniach werandy i, ujrzawszy leżącego Hammonda, stanął jak wryty. Dotknął jego twarzy. Była zupełnie zimna.

— Gdzie pani? — zapytał służącego.

Chińczyk wskazał na drzwi sypialni. Withers podszedł i zapukał. Nikt się nie odezwał. Zapukał po raz drugi. Nic!

— Pani Crosbie! — zawołał.

— Kto tam?

— Withers.

Nastała chwila milczenia, poczem rozległ się zgrzyt klucza w zamku, i drzwi otworzyły się powoli

W progu stała Leslie. Nie kładła się i miała na sobie tę samą suknię, w której jadła obiad. Stała i patrzyła w milczeniu na inspektora.

— Wezwał mnie służący państwa — rzekł. — Hammond!... Co pani zrobiła?

— Chciał mnie zgwałcić, więc go zastrzeliłam.

— Wielki Boże! Proszę, niech pani stąd wyjdzie. Musi mi pani opowiedzieć, jak to się stało.

— Nie teraz. Nie mogę. Muszę się wpierw uspokoić. Niech pan pośle po mego męża.

Withers był młodym człowiekiem, nie miał wielkiej rutyny i nie wiedział, jak postąpić w tym wyjątkowym wypadku. Leslie odmawiała wszelkich zeznań, czekając na męża. Dopiero, gdy przybył Robert, opowiedziała obu mężczyznom cały przebieg katastrofy i, jakkolwiek powtarzała to opowiadanie wiele razy od chwili pierwszych badań, nie odstąpiła od pierwotnej wersji nawet w najmniejszym szczególiku.

Punkt, który niepokoił pana Joyce'a, odnosił się do strzelaniny. Jako obrońca kłopotał się, że Leslie dała nie jeden, lecz sześć strzałów. Oględziny ciała wykazały, że cztery z nich dano z bardzo bliskiej odległości. Nasuwało się przypuszczenie, że kiedy Hammond upadł, stanęła nad nim, i wpakowała w swoją bezbronną ofiarę wszystkie pozostałe naboje. Zeznała, że od tej chwili pamięć ją zawodzi, pomimo, że wszystko, co poprzedziło zabójstwo, pamięta doskonale. Doznała zupełnego zamroczenia umysłu, wskazującego na niepohamowaną furję. Ale niepohamo-

wana furja była ostatnią rzeczą, jakiej się można było spodziewać po tej spokojnej kobiecie. Pan Joyce znał ją od wielu lat i uważał zawsze za wybitnie nieemocjonalną kobietę. Przez cały czas pobytu w więzieniu okazywała zdumiewający spokój.

Wzruszył ramionami.

— Faktem jest — rozmyślał — że nigdy nie można przewidzieć, jakie utajone, dzikie możliwości kryją się w najprzyzwoitszej kobiecie.

Zapukano do drzwi.

— Proszę wejść.

Wszedł aplikant Chińczyk i zamknął za sobą drzwi. Zamknął je delikatnie, z namysłem, ale stanowczo, poczem przysunął się do stołu, przy którym siedział pan Joyce.

— Czy mógłbym prosić pana mecenasa o parę minut prywatnej rozmowy? — zapytał.

Staranny dobór słów, jaki charakteryzował angielszczyznę młodego człowieka, działał zawsze na zmysł humoru pana Joyce'a, który i teraz lekko się uśmiechnął.

— Ależ proszę, Chi Seng — odpowiedział.

— Sprawa, którą pragnąłbym przedłożyć panu mecenasowi, jest wysoce poufnej natury.

— Mów pan.

Adwokat spotkał się wzrokiem z chytremi oczami aplikanta. Jak zwykle Ong Chi Seng ubrany był podług ostatniej mejscowej mody. Na nogach miał bardzo błyszczące lakierki i kolorowe jedwabne skarpetki. W czarnym krawacie błyszczała szpilka z per-

łą i rubinem, a na czwartym palcu lewej ręki — brylantowy pierścień. Z kieszeni eleganckiej białej kurtki wystawało złote wieczne pióro i złoty ołówek. Na ręku miał złoty zegarek z bransoletką, a na nosie niewidzialne binokle.

Zakasłał dyskretnie.

— Moja informacja pozostaje w związku ze sprawą zabójstwa Hammonda.

— Słucham pana.

— Do mojej wiadomości doszła pewna okoliczność, panie mecenasie, która według mnie rzuca na całą tę sprawę zupełnie inne światło.

— Jaka okoliczność?

— Doszło do mojej wiadomości, panie mecenasie, że istnieje list, który podsądna napisała do nieszczęśliwej ofiary tragedji.

— Cóż w tem dziwnego? Nie wątpię, że w ciągu siedmiu lat znajomości pani Crosbie często miała okazję pisania do Hammonda.

Pan Joyce miał wysokie wyobrażenie o inteligencji swego aplikanta i powyższą uwagę zrobił tylko w tym celu, aby ukryć swoje myśli.

— Bardzo prawdopodobne, panie mecenasie. Pani Crosbie musiała się komunikować ze zmarłym bardzo często, to zapraszając go na obiad, to na tennisa. Było to również moją pierwszą myślą, kiedy mi powiedziano o istnieniu rzeczonego listu. Tylko, że ten list był pisany w sam dzień śmierci ś. p. Hammonda.

Pan Joyce zachował niewzruszony spokój. Pa-

trzył w dalszym ciągu na Ong Chi Senga z tym samym wyrazem rozbawienia, z jakim się zawsze doń odnosił.

— Kto panu o tem powiedział?

— Okoliczność powyższa doszła do mojej wiadomości, panie mecenasie, przez pośrednictwo jednego z moich przyjaciół.

Pan Joyce nie nalegał.

— Niewątpliwie pan mecenas przypomina sobie, co zeznała podsądna, że do fatalnego wieczora nie komunikowała się ze zmarłym od kilku tygodni.

— Czy ma pan ten list?

— Nie, panie mecenasie.

— Jaka jest jego treść?

— Przyjaciel dał mi odpis. Czy pan mecenas życzy sobie, abym go okazał.

— Owszem.

Ong Chi Seng wydobył z wewnętrznej kieszeni pakowny portfel, wypchany papierami i banknotami, z pomiędzy których wyjął pół arkusika papieru listowego i położył go przed panem Joyce. List brzmiał, jak następuje:

„R. będzie w nocy nieobecny. Muszę się bezwzględnie z Tobą widzieć. Będę Cię oczekiwać o jedenastej. Jestem w rozpaczy i, jeżeli nie przyjdziesz, nie odpowiadam za następstwa. Nie podjeżdżaj pod sam dom. L."

Charakter pisma był płynny, taki, jakiego się uczą Chińczycy w szkołach zagranicą, zupełnie nie-

indywidualny i kontrastował w dziwny sposób ze złowieszczą treścią słów listu.

— Skąd pewność, że ten list został napisany przez panią Crosbie?

— Prawdomówność mego informatora nie podlega kwestji, panie mecenasie — odpowiedział Ong Chi Seng. — I zresztą łatwo to będzie sprawdzić. Pani Crosbie przyzna się niewątpliwie, czy napisała ten list, czy nie.

Od samego początku rozmowy pan Joyce nie spuszczał oczu z poważnej twarzy swego aplikanta. Ciekaw był, czy mu się zdawało, czy też naprawdę dostrzegł w jego oczach zlekka drwiący wyraz.

— Nie do pomyślenia, żeby pani Crosbie mogła napisać taki list — rzekł.

— Jeżeli taka jest opinja pana mecenasa, to naturalnie niema o czem mówić. Przyjaciel zakomunikował mi tę wiadomość ze względu na to, że pracuję u pana. Przypuszczał, że może pan zechce zainteresować się tym listem, zanim zostanie przesłany do prokuratorji.

— Kto ma oryginał? — zapytał ostro pan Joyce.

Ong Chi Seng żadnym gestem nie dał do poznania, że w tonie i zachowaniu się swego szefa zauważył jakąkolwiek zmianę.

— Niewątpliwie wiadomo panu mecenasowi, że po śmierci Hammonda wyszło najaw, iż miał on stosunki z pewną Chinką. Otóż list znajduje się obecnie w jej posiadaniu.

To właśnie było jedną z przyczyn wrogiego na-

stroju opinji publicznej przeciw zmarłemu. Dostało się mianowicie do powszechnej wiadomości, że Hammond żył od kilku miesięcy z Chinką, która mieszkała w jego domu.

Przez chwilę żaden się nie odzywał. W samej rzeczy zostało powiedziane wszystko, co było do powiedzenia, i obaj prawnicy zrozumieli się doskonale.

— Dziękuję panu, Chi Seng. Zastanowię się nad tą sprawą.

— Do usług, panie mecenasie. Czy mam zakomunikować wynik naszej rozmowy mojemu przyjacielowi?

— Dobrze będzie, jeżeli pan pozostanie z nim nadal w kontakcie — odpowiedział poważnie pan Joyce.

— Rozumiem.

Aplikant wysunął się cicho z pokoju, zamykając za sobą drzwi z taką samą starannością, jak i przedtem. Pan Joyce pozostał sam ze swojemi myślami. Wpatrywał się uporczywie w nieindywidualną kopję listu Leslie. Chodziły mu po głowie mętne podejrzenia, mętne, ale tak niepokojące, że wyrzucił je z wysiłkiem z myśli. Musi istnieć jakieś proste wytłumaczenie listu Leslie, i Leslie niewątpliwie udzieli go odrazu, ale na Boga! Trzeba się z tem śpieszyć. Wstał z krzesła, schował list do kieszeni i włożył kork. Kiedy wychodził, Ong Chi Seng siedział przy swojem biurku, zajęty pisaniem.

— Wychodzę na kilka minut, Chi Seng — rzekł adwokat.

— Pan Jerzy Reed ma przyjść o dwunastej, panie mecenasie. Co mam mu powiedzieć?

Pan Joyce uśmiechnął się słabo.

— Powiedz mu pan, że nie masz pojęcia, dokąd poszedłem.

Wiedział jednak dobrze, że młody Chińczyk domyśla się, że udał się do więzienia. Chociaż zbrodnia została popełniona w Belanda i sąd miał się odbyć w Belanda Bharu, pani Crosbie została przewieziona do Singapore z powodu braku odpowiednich dla białej kobiety wygód w tamtejszem więzieniu.

Wprowadzono ją do pokoju, w którym czekał jej obrońca. Uśmiechnęła się sympatycznie i podała mu szczupłą, dystyngowaną rękę. Była ubrana jak zwykle z wykwintną prostotą. Bujne jasne włosy tworzyły staranną fryzurę.

— Nie spodziewałam się, że pana dzisiaj zobaczę — rzekła z wdziękiem.

Zachowywała się tak, jak u siebie w domu, i pan Joyce spodziewał się nieomal, że za chwilę zawoła chłopca i każe podać dżin.

— Jak się pani czuje? — zapytał.

— Jak najlepiej, dziękuję panu. — W oczach mignął jej wesoły uśmiech. — Cudowne miejsce odpoczynkowo-kuracyjne.

Dozorca odszedł, i zostali sami.

— Proszę, niech pan siada — rzekła Leslie.

Zajął krzesło. Nie wiedział, jak zacząć. Była

tak opanowana, taka spokojna, że wydawało się niemożliwością zakomunikować jej tego rodzaju wiadomość. Chociaż nie była ładna, z powierzchowności jej emanowało coś pociągającego. Była elegancka, ale elegancja ta miała swoje źródło w dobrem wychowaniu, i nie było w niej nic z towarzyskiej sztuczności. Wystarczyło na nią spojrzeć, aby wiedzieć, wśród jakich kół się obracała i z jakimi ludźmi utrzymywała stosunki. Delikatność budowy nadawała jej szczególną wytworność. Niesposób było posądzać ją o brutalność myśli czy czynów.

— Cieszę się, że zobaczę się dziś po południu z Robertem — zauważyła swym pogodnym, swobodnym głosem.

(Przyjemnie było słuchać jej głosu. Głos ten i akcent podkreślały w wysokim stopniu jej przynależność klasową).

— Biedaczysko, ile on się nacierpi. Cieszę się, że się to niedługo skończy.

— Za pięć dni.

O, wiem. Co rano, budząc się, mówię sobie: „o jeden dzień mniej".

Uśmiechnęła się wdzięcznie.

— Przypominają mi się szkolne czasy. Jak się to zawsze czekało na wakacje!

— A propos, czy to prawda, że ostatni raz komunikowała się pani z Hammondem na kilka tygodni przed katastrofą?

— Tak. Jestem tego zupełnie pewna. Ostatni raz spotkaliśmy się na tennisie u MacFarrensów. Nie

sądzę, żebym zamieniła z nim więcej jak dwa zdania. Oni mają tam dwa korty, ja grałam na innym i on na innym.

— I nie pisała pani do niego?

— Nie.

— Czy pani jest tego pewna?

— Najzupełniej — odpowiedziała z przelotnym uśmiechem. — Pisywałam do niego tylko wtedy, kiedy go zapraszałam na obiad lub do tennisa, a żadna z tych okazyj nie miała miejsca już od kilku miesięcy.

— Ale kiedyś panowały między państwem dosyć zażyłe stosunki. Jak się to stało, że przestała go pani zapraszać?

Pani Crosbie wzruszyła szczupłemi ramionami.

— Można się znużyć czyjemś towarzystwem. Nie mieliśmy z nim wiele wspólnego. Naturalnie, wtedy, kiedy był chory, ja i Robert opiekowaliśmy się nim, ale ostatnio cieszył się dobrem zdrowiem i był ogromnie popularny. Ludzie go rozrywali, i nie było potrzeby zasypywać go zaproszeniami.

— Czy pani jest zupełnie pewna, że to było wszystko?

Pani Crosbie zawahała się z odpowiedzią.

— Ostatecznie mogę panu powiedzieć jeszcze jedno. Doszło do naszych uszu, że Hammond żyje z pewną Chinką, i Robert powiedział, że wobec tego nie chce, żeby go widywano w naszym domu. Sama ją widziałam.

Pan Joyce siedział w fotelu o prostem oparciu, z brodą, wspartą na ręce, i oczyma, utkwionemi w twarzy Leslie. Czy mu się zdawało, czy naprawdę przy ostatnich słowach w czarnych źrenicach młodej kobiety zaświecił nagle na ułamek sekundy posępny czerwony błysk? Efekt był niepokojący. Pan Joyce poruszył się w fotelu i złożył ręce końcami palców do siebie. Przemówił bardzo powoli, z namysłem, dobierając starannie wyrazy:

— Moim obowiązkiem jest poinformować panią, że istnieje własnoręczny list pani do Geoffrey'a Hammonda.

Obserwował ją z natężeniem. Nie poruszyła się, nie drgnęła. Twarz jej nie zmieniła barwy. Tyle tylko, że nie odpowiedziała odrazu.

— Dawniej, kiedy byliśmy w lepszych stosunkach, często pisywałam do niego, zapraszajec go na to lub na owo lub prosząc, żeby mi załatwił jaki sprawunek w Singapore, dokąd często jeździł.

— W liście tym prosi go pani, żeby przyjechał, bo Robert wyjechał do Singapore.

— To niemożliwe. Nigdy nie pisywałam do niego w taki sposób.

— Może pani to przeczyta?

Wyjął z kieszeni odpis listu i podał go Leslie. Rzuciła nań okiem i z pogardliwym uśmiechem wręczyła zpowrotem swemu obrońcy.

— To nie moje pismo.

— Wiem o tem. Powiedziano mi, że jest to jak najdokładniejsza kopja oryginału.

Przeczytała znaczące słowa, i zaszła w niej momentalnie straszliwa zmiana. Blada twarz stała się poprostu upiorna. Zielona. Mogło się zdawać, że ciało gdzieś się zapodziało i na kościach pozostała tylko naciągnięta mocno skóra. Wargi ściągnęły się kurczowo, ukazując zęby. Wyglądała tak, jakby zrobiła dziwny grymas. Patrzyła na pana Joyce oczami, wyskakującemi formalnie z orbit. Porównał ją w myśli do szepleniącej maski śmierci.

— Co to znaczy? — rzekła szeptem.

Usta miała tak zaciśnięte, że z gardła jej wydobywały się teraz chrapliwe dźwięki, zupełnie niepodobne do ludzkiego głosu.

— To już pani powinna lepiej wiedzieć — odpowiedział.

— Ja nie napisałam tego listu. Przysięgam, że nie napisałam.

— Niech się pani liczy ze słowami, ostrzegam. Jeżeli oryginał jest pisany ręką pani, wszelkie zaprzeczenia na nic się nie przydadzą.

— W takim razie list został podrobiony.

— Trudno byłoby tego dowieść. Przeciwnie, łatwo będzie ewentualnie wykazać, że jest prawdziwy.

Szczupłem ciałem młodej kobiety wstrząsnął dreszcz, i jednocześnie na czoło wystąpiły jej wielkie krople potu. Wyjęła z torebki chustkę do nosa i wytarła nią mokre dłonie. Spojrzała ponownie na list i rzuciła panu Joyce szybkie ukośne spojrzenie.

— Niema daty. Jeżeli rzeczywiście napisałam ten list i zapomniałam o nim, to musiało to mieć miej-

sce bardzo dawno temu. Niech mi pan da czas do namysłu, to spróbuję sobie przypomnieć.

— I ja zauważyłem brak daty. Gdyby ten list dostał się w ręce prokuratora, zbadanoby służących i okazałoby się wtedy, czy któryś z nich był z listem u Hammonda w dzień jego gwałtownej śmierci.

Pani Crosbie splotła ręce tak mocno, że aż palce trzasnęły, i zachwiała się w krześle. Myślał, że zemdleje.

— Przysięgam panu, że nie pisałam tego listu.

Pan Joyce milczał przez chwilę. Spuścił oczy z przerażonej twarzy i wlepił je w podłogę. Milczał.

— W takim razie niema się co dłużej nad tą sprawą rozwodzić — odezwał się wreszcie, przełamując milczenie. — Jeżeli posiadacz tego listu zechce go przesłać do prokuratorji, niech pani będzie przygotowana na następstwa.

Słowa jego zdawały się dawać do zrozumienia, że nie ma nic więcej do powiedzenia, lecz pomimo to nie śpieszył się z odejściem. Czekał. Miał wrażenie, że czekał bardzo długo. Nie patrząc na Leslie, wiedział, że siedzi, jak skamieniała. Nie odzywała się, nie wydawała żadnego dźwięku.

Wkońcu był zmuszony odezwać się pierwszy.

— Jeżeli mi pani nie ma nic do powiedzenia, to może się pożegnamy?

— Jakie ten list robi wrażenie? Co myślą ci, którzy go czytali? — zapytała znienacka.

— Że pani dopuściła się rozmyślnego kłamstwa — odparł ostro adwokat.

— Kiedy?

— Zeznała pani, że przynajmniej od trzech miesięcy nie komunikowała się pani z Hammondem.

— To całe przejście wstrząsnęło mną w straszliwy sposób. Wypadki owej okropnej nocy przedstawiają mi się teraz jak jakieś upiorne majaczenie. Nic dziwnego, że zapomniałam o jednym drobnym szczególe.

— Ma pani doprawdy nieszczęśliwą pamięć, skoro pamięta pani tak wyraziście rozmowę z Hammondem do najdrobniejszych szczegółów, a zapomina o rzeczy niezmiernie ważnej, mianowicie, że zmarły zjawił się fatalnego dla siebie wieczora w bungalowie państwa na wyraźne pani żądanie.

— Nie zapomniałam o tem, tylko po tem, co się stało, bałam się do tego przyznać. Pomyślałam, że żaden z panów nie uwierzyłby mi, gdybym zeznała, że Hammond stawił się u mnie na zaproszenie. Postąpiłam bardzo nierozsądnie, ale straciłam głowę i, skoro raz powiedziałam, że z nim się nie komunikowałam, musiałam się tego trzymać.

Leslie odzyskała swój cudowny spokój i spojrzała swemu obrońcy w oczy z wyrazem wielkiej szczerości. Jej łagodny wdzięk był rozbrajający.

— W takim razie będzie pani musiała wytłumaczyć, w jakim celu wezwała pani do siebie Hammonda w nieobecności męża?

Zwróciła się do niego całą twarzą. Zauważył po raz pierwszy, że oczy jej wcale nie są niegodne uwagi, jak mu się zawsze zdawało, i że zasługują na miano

ładnych. Jeżeli się nie mylił, błyszczały w nich łzy. Głos młodej kobiety załamywał się lekko.

— Przygotowywałam dla Roberta niespodziankę. W przyszłym miesiącu wypadają jego urodziny. Wiedziałam, że chciał mieć nową strzelbę, a jak panu wiadomo, nie znam się absolutnie na tych rzeczach. Chciałam poradzić się Hammonda. Myślałam, że mi to załatwi.

— Mam wrażenie, że nie pamięta pani dobrze treści listu. Może go pani jeszcze raz przeczyta?

— Niema potrzeby — odrzuciła prędko.

— Czy taki list pisze kobieta, która chce zasięgnąć rady u człowieka, z którym nie pozostaje nawet w przyjacielskich stosunkach, w sprawie kupna strzelby?

— Przyznaję, że wyraziłam się w nim z emocjonalną przesadą. Często się tak wyrażam, chociaż mnie to samą razi.

Uśmiechnęła się lekko.

— I ostatecznie Geoffrey Hammond nie był znowu takim bardzo dalekim znajomym. Można go było nazwać przyjacielem. Kiedy był chory, pielęgnowałam go jak matka. Zaprosiłam go w nieobecności męża, bo Robert nie chciał, żeby on u nas bywał.

Pan Joyce zmęczył się długiem siedzeniem w tej samej pozycji. Wstał przeto i przeszedł się parę razy po pokoju, zastanawiając się, jakiemi słowami do niej przemówić. Wkońcu stanął i oparł się o poręcz fotelu, na którym uprzednio siedział. Mówił powoli bardzo poważnym tonem.

— Pani Crosbie, chciałbym z panią pomówić bardzo, bardzo poważnie. Cała ta sprawa przedstawiała się stosunkowo prosto. Jeden tylko punkt wydawał mi się trochę niepewny, mianowicie, że o ile mi się zdaje, dała pani cztery strzały do Hammonda, kiedy on już leżał na ziemi. Trudno było uwierzyć, że delikatna, wystraszona i zazwyczaj bardzo opanowana kobieta, odznaczająca się łagodnością i subtelnemi instynktami, dała się ponieść takiej szaleńczej, niepohamowanej furji. Ale naturalnie nie było to wykluczone. Jakkolwiek Geoffrey Hammond był ogólnie lubiany i cieszył się dużem poważaniem, to jednak przygotowany byłem dowieść na sądzie, że był on zdolny do popełnienia występku, o jaki go pani oskarżyła, usprawiedlwiając się z popełnionej zbrodni. Fakt, że żył z Chinką, o czem dowiedziano się dopiero po jego śmierci, dał mi mocną podstawę do takiego wystąpienia, pozbawiając go sympatji u publiczności. Zdecydowałem się wykorzystać niechęć do jego pamięci, jaką ten związek obudził w myślach wszystkich szanujących się ludzi. Powiedziałem dziś rano mężowi pani, że jestem zupełnie spokojny o wynik sprawy. I nie mówiłem tego tylko dlatego, żeby go podnieść na duchu. Byłem pewny, że pani zostanie uniewinniona.

Spojrzeli sobie w oczy. Pani Crosbie trwała w dziwnem milczeniu. Przypominała małego ptaszka, zahipnotyzowanego przez węża.

Adwokat ciągnął dalej tym samym spokojnym tonem:

— Ale ten list postawił całą sprawę w zupełnie innem świetle. Jestem pani obrońcą, będę panią reprezentował na sądzie. Przyjmę do wiadomości to, co mi pani powiedziała, i ja wierzę w pani zeznania, a może mam co do nich wątpliwości. Obowiązkiem obrońcy jest przedstawić sądowi sprawę w taki sposób, aby zakwestjonować winę podsądnej względnie podsądnego. Jego prywatna opinja o winie czy niewinności klienta nie ma nic do rzeczy.

Zdumiał się, zauważywszy w oczach Leslie błysk uśmiechu. Urażony mówił dalej nieco już sucho.

— Nie zaprzeczy pani chyba, że Hammond stawił się w domu państwa na naglące, a nawet histeryczne zaproszenie, pisane przez panią?

Pani Crosbie zawahała się, i na czole jej ukazała się fałda głębokiego namysłu.

— Łatwo będzie dowieść, że list zawiózł jeden z chłopców do jego bungalowu. Pojechał tam na rowerze. Niech pani nie przypuszcza, że ludzie okażą się bardziej naiwni niż pani. List nasunie im pewne podejrzenia, które dotychczas nie przyszły nikomu do głowy. Nie powiem pani, co sam pomyślałem, kiedy przeczytałem ten odpis. Nie chcę, żeby mi się pani ze wszystkiego zwierzała. Jeżeli jednak chce pani uchronić szyję przed stryczkiem, to proszę mi powiedzieć chociaż coś.

Pani Crosbie krzyknęła przeraźliwie i zerwała się z krzesła, blada jak upiór.

— Więc pan sądzi, że mnie powieszą?

— Jeżeli sąd dojdzie do przekonania, że nie zabiła pani Hammonda w samoobronie, w takim razie obowiązkiem sędziów będzie uznać panią za winną. Oskarżona jest pani o morderstwo. Obowiązkiem sędziów będzie wydać na panią wyrok śmierci.

— Ale czegóż oni mogą dowieść? — jęknęła.

— Nie wiem, czego oni mogą dowieść. I nie chcę wiedzieć. Ale jeżeli obudzą się w nich podejrzenia, jeżeli zaczną robić dochodzenia, badać krajowców — to, co może wyjść najaw?

Młoda kobieta zachwiała się nagle i, nim ją zdążył pochwycić, upadła na podłogę. Zemdlała. Rozejrzał się po pokoju za wodą, której nie było. Nie chciał jednak, aby mu przeszkadzano w rozmowie z podsądną, i nie zawołał na dozorcę. Rozłożył ją na ziemi i, ukląkłszy obok, czekał aż odzyska przytomność. Kiedy wreszcie otworzyła oczy, malowała się w nich tak upiorna trwoga, że się wzdrygnął.

— Niech pani leży spokojnie — rzekł. — Za chwilę przyjdzie pani do siebie.

— Nie pozwoli mnie pan powiesić — szepnęła.

Zaniosła się histerycznym płaczem. Próbował ją uspokajać.

— Na Boga, niechże się pani opanuje — rzekł zniżonym głosem.

— Niech mi pan da minutę czasu.

Odwaga tej kobiety była zdumiewająca. Widział, jak starała się opanować wzburzone nerwy. Za chwilę była spokojna jak przedtem.

— Niech mi pan teraz pomoże wstać.

Podał jej rękę i pomógł dźwignąć się na nogi. Następnie ujął ją pod ramię i poprowadził do fotelu. Opadła bezsilnie na siedzenie.

— Niech pan się do mnie nie odzywa przez parę minut — rzekła.

— Dobrze.

Po dłuższem milczeniu westchnęła cicho i powiedziała coś, czego się nie spodziewał.

— Zdaje się, że narobiłam sobie biedy — zauważyła.

Nie odpowiedział, i znów zapadło milczenie.

— Czy możnaby wydobyć jakimś sposobem ten list z rąk posiadacza? — zapytała.

— Sądzę, że nicby mi o tem nie wspominano, gdyby osoba, w której posiadaniu znajduje się ten list, nie zamierzała go sprzedać.

— Kto to jest?

— Chinka, która mieszkała w domu Hammonda.

Na kościach policzkowych Leslie ukazały się na mgnienie oka dwie czerwone plamy.

— Ile ona za to chce?

— Mam wrażenie, że zdaje sobie doskonale sprawę z wartości tego dokumentu. Przypuszczam, że zażąda za to ogromnej sumy.

— Czy pan dopuści do tego, żeby mnie powieszono?

— Czy pani myśli, że to tak łatwo usunąć niepożądany dowód rzeczowy? Że to taka prosta rzecz?

To to samo, co przekupić świadka. Nie ma pani prawa występować do mnie z tego rodzaju żądaniami.

— Więc co się ze mną stanie?

— Sprawiedliwości musi się stać zadość.

Zbladła jak ściana i wzdrygnęła się od dreszczu, który przeszedł ją od stóp do głów.

— Oddaję się w pana ręce. Naturalnie nie mam prawa żądać, żeby się pan dla mnie dopuszczał bezprawia.

Pan Joyce nie przewidział lekkiego załamania głosu podsądnej, co w zestawieniu z jej zwykłą zimną krwią zrobiło na nim wstrząsające wrażenie. Patrzyła na niego błagalnym, pokornym wzrokiem, i poczuł, że jeżeli odrzuci jej prośbę, oczy te będą go prześladować przez całe życie. Ostatecznie nic już nie zdoła przywrócić do życia biednego Hammonda. Ciekaw był, co oznaczał list, którego treść nie dawała właściwie podstawy do przypuszczenia, że nieszczęśliwy został zabity z premedytacją. Pan Joyce przeżył na Wschodzie długie lata, i jego poczucie zawodowej uczciwości nie było takie silne, jak przed dwudziestu laty. Spuścił oczy. Postanowił dopuścić się czynu, absolutnie nieusprawiedliwionego. Chciał jej to powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Poczuł do niej głuchą urazę, i ogarnęło go lekkie zakłopotanie.

— Nie wiem dokładnie, jaki jest stan interesów męża pani.

Oblała się mocnoróżowym rumieńcem i rzuciła mu szybkie spojrzenie.

— Ma wielkie udziały w kopalniach cyny i pe-

wien udział w kilku plantacjach gumy. Przypuszczam, że mógłby podjąć znaczną sumę.

— Ale w takim razie trzebaby mu powiedzieć, na co są te pieniądze potrzebne.

Milczała przez chwilę, jakby się namyślając

— On ciągle jeszcze mnie kocha, i zdolny byłby do nie wiem jakiej ofiary, aby mnie uratować. Czy bezwzględnie musimy mu powiedzieć o tym liście?

Pan Joyce zmarszczył się lekko. Ona dostrzegła to wlot i ciągnęła dalej:

— Robert jest pana przyjacielem. Nie proszę pana o łaskę dla siebie. Proszę tylko, żeby pan uratował prostego, dobrego człowieka, który w niczem panu nie zawinił, od wielkiego bólu.

Pan Joyce nie odpowiedział. Wstał z zamiarem odejścia. Pani Crosbie wyciągnęła do niego rękę właściwym sobie wdzięcznym a naturalnym gestem. To, co usłyszała, wstrząsnęło nią okropnie, twarz miała poprostu szarą, starała się jednak pożegnać go w uprzejmy sposób niby dobrze wychowana pani domu. Wysiłek ten kosztował ją całą siłę woli.

— Jaki pan dobry, że pan podejmuje dla mnie tyle trudów. Nie wiem, jak panu wyrazić swoją wdzięczność.

Pan Joyce powrócił do biura. Zasiadłszy w gabinecie, nie zabrał się do żadnej pracy, lecz pogrążył się w głębokiej zadumie. Wyobraźnia nasunęła mu wiele dziwnych domysłów. Chwilami przebiegało go lekkie drżenie. Po niejakim czasie usłyszał dyskretne

pukanie, którego oczekiwał. W progu stanął Ong Chi Seng.

— Idę na tiffin, panie mecenasie — rzekł.

— Dobrze. Idź pan.

— Chciałem się dowiedzieć, czy pan mecenas nie ma dla mnie jakiego polecenia?

— Chyba nie. Czy porozumiał się pan z Reedem co do godziny?

— Tak jest, panie mecenasie. Przyjdzie o trzeciej.

— Dobrze.

Ong Chi Seng odwrócił się, poszedł do drzwi i położył na klamce długie, wysmukłe palce. Nagle, jakby uderzony jakąś myślą, zwrócił się ponownie do swego szefa:

— Czy pan mecenas nie każe mi nic zakomunikować memu przyjacielowi?

Jakkolwiek Ong Chi Seng mówił po angielsku z wielką precyzją, wymowa niektórych wyrazów sprawiała mu pewną trudność, i chwilami szeplenił.

— Jakiemu przyjacielowi?

— W związku z listem, jaki pani Crosbie napisała do zabitego, panie mecenasie.

— A prawda. Byłbym o tem zapomniał. Mówiłem o tem z panią Crosbie, ale ona kategorycznie zaprzecza, jakoby taki list napisała. Najwidoczniej został on podrobiony.

Adwokat wyjął z kieszeni odpis listu i wyciągnął go do Ong Chi Senga. Chińczyk zignorował gest.

— Wobec tego, panie mecenasie, sądzę, że mój

przyjaciel może przesłać rzeczony list do prokuratorji i że nikt nie będzie miał nic przeciwko takiemu postawieniu sprawy.

— Ależ naturalnie. Tylko nie rozumiem, co z tego przyjdzie pańskiemu przyjacielowi.

— Mój przyjaciel, panie mecenasie, uważa, że jego obowiązkiem jest działać w interesie sprawiedliwości.

— Jestem chyba ostatnim człowiekiem na świecie, który mógłby odwodzić ludzi od wypełnienia obowiązku, Chi Seng.

Oczy adwokata i aplikanta spotkały się na jedną przelotną chwilę. Na twarzy żadnego z nich nie było widać ani cienia uśmiechu, ale rozumieli się doskonale.

— Rozumiem, panie mecenasie — rzekł Ong Chi Seng — ale opierając się na wiadomych mi danych w sprawie morderstwa Hammonda, wnoszę, że okazanie tego listu będzie dla naszego klienta fatalne w skutkach.

— Zawsze miałem wysokie wyobrażenie o pańskim zmyśle prawnym, Chi Seng.

— Nasunęła mi się refleksja, panie mecenasie, że gdyby mi się udało namówić mego przyjaciela, aby skłonił Chinkę, posiadaczkę listu, do wręczenia nam rzeczonego dokumentu, oszczędziłoby to nam wielu kłopotów.

Pan Joyce gryzmolił leniwie po bibule.

— Pański przyjaciel jest prawdopodobnie czło-

wiekiem interesu. Jak pan sądzi, pod jakim warunkiem zgodziłby się wydać ten list?

— Mój przyjaciel nie znajduje się w posiadaniu rzeczonego listu. Ma go u siebie Chinka. On jest jej krewnym. Ona jest ciemną kobietą. Nie wiedziała, jaki ma skarb w rękach, dopóki jej nie oświecił mój przyjaciel.

— Na ile on ocenił ten list?

— Na dziesięć tysięcy dolarów, panie mecenasie.

— Wielki Boże! Skąd u licha, pani Crosbie wzięłaby dziesięć tysięcy dolarów? Powtarzam panu, że list jest podrobiony.

Mówiąc te słowa, obserwował Ong Chi Senga, który pomimo ich wybuchowego tonu pozostał nieporuszony. Stał koło biurka, grzeczny, opanowany i baczny.

— Pan Crosbie posiada ósmą część udziałów Betong Rubber Estate i szóstą część udziałów Selantan River Rubber Estate. Mam przyjaciela, który pożyczy mu pieniędzy pod zastaw tego majątku.

— Masz pan szerokie stosunki, Chi Seng.

— Tak jest, panie mecenasie.

— Więc powiedz pan im, niech idą do djabła. Nigdy nie radziłbym panu Crosbie dawać o grosz więcej niż pięć tysięcy za list, który można z łatwością wytłumaczyć.

— Chinka nie chciała sprzedać tego listu, panie mecenasie. Mój przyjaciel namówił ją z trudem, aby to uczyniła. Na nic się nie przyda ofiarowywać jej mniej, niż powiedziałem.

Pan Joyce wlepił oczy w Ong Chi Senga i patrzył tak na niego przynajmniej przez trzy minuty. Aplikant wytrzymał jego badawczy wzrok bez cienia zakłopotania. Stał w pełnej szacunku postawie ze spuszczonemi powiekami. Pan Joyce dobrze wiedział, z kim ma do czynienia.

— Sprytny pasażer ten Chi Seng — pomyślał. — Ciekaw jestem, ile on z tego dostanie?

— Dziesięć tysięcy dolarów to wielka suma — rzekł.

— Panie mecenasie, pan Crosbie będzie ją z pewnością wolał zapłacić niż zobaczyć żonę na szubienicy.

Pan Joyce umilkł. Czy Chi Seng wie dużo więcej nad to, co powiedział? Musi być bardzo pewny swego, skoro jest taki twardy do ustępstw. Suma została ustalona, gdyż ten, kto prowadził tę sprawę, wiedział, że jest to najwyższa granica finansowych możności Roberta Crosbie.

— Gdzie się teraz znajduje owa kobieta, Chinka? — zapytał adwokat.

— W domu mego przyjaciela.

— Czy nie zechciałaby tu przyjść?

— Lepiej będzie, jak pan do niej pójdzie, panie mecenasie. Mogę pana zaprowadzić do niej dziś wieczorem, i ona wręczy panu rzeczony list. To bardzo ciemna kobieta, panie mecenasie, i nie zna się absolutnie na czekach.

— Nie zamierzałem przychodzić do niej z czekiem. Przyniosę z sobą banknoty.

— Zaznaczam, że byłoby stratą czasu przynosić mniej niż dziesięć tysięcy doarów.

— Rozumiem.

— Pójdę i powiem to memu przyjacielowi, gdy spożyję tiffin, panie mecenasie.

— Dobrze. Spotkamy się przed klubem o dziesiątej wieczorem.

— Z przyjemnością, panie mecenasie.

Skłonił się lekko i opuścił pokój. Pan Joyce udał się również na lunch. Wszedł do klubu, gdzie, jak się spodziewał, zastał Roberta Crosbie. Siedział właśnie przy zatłoczonym stole, kiedy ukazał się plantator, szukając miejsca. Pan Joyce dotknął jego ramienia.

— Chciałbym zamienić z panem kilka słów — rzekł.

— Dobrze. Będę czekał.

Adwokat obmyślił zgóry, w jaki sposób zakomunikuje hiobową wiadomość nieszczęsnemu mężowi. Po lunchu zagrał w bridża w oczekiwaniu na opróżnienie się klubu. Nie chciał omawiać z Crosbie'm tej sprawy u siebie w biurze. Niebawem plantator wszedł do sali gry. Przyglądał się grającym, dopóki nie skończyli. Gracze wyszli, i pozostali tylko Joyce i Crosbie.

— Stało się nieszczęście, kochany panie — rzekł adwokat tonem, który starał się uczynić możliwie zdawkowym. — Okazuje się, że żona pańska napisała do Hammonda list, prosząc go, żeby przyjechał do

bungalowu tego właśnie wieczora, kiedy został zabity.

— Ależ to niemożliwe! — wykrzyknął Crosbie. — Zeznała kilkakrotnie, że od dłuższego czasu nie komunikowała się z nim wcale. Wiem dobrze, że przez ostatnie parę miesięcy nigdzie się nie spotkali.

— Jednak fakt pozostaje faktem, że taki list istnieje i znajduje się w posiadaniu Chinki, z którą żył Hammond. Żona pańska chciała zrobić panu niespodziankę na urodziny i zwróciła się do Hammonda, aby jej pomógł w wyborze prezentu. Na skutek rozstroju nerwowego, jakiego doświadczyła po tragedji, zapomniała zupełnie o tym incydencie i, raz zeznawszy, że nie utrzymywała z Hammondem żadnych stosunków, bała się potem przyznać, że popełniła omyłkę. Ma się rozumieć, bardzo to niefortunny zbieg okoliczności, ale nie niemożliwy.

Crosbie milczał. Na jego wielkiej czerwonej twarzy malował się wyraz kompletnego osłupienia. Ta niepojętność rozjątrzyła adwokata, który jednocześnie doznał wrażenia ulgi. Plantator był ograniczonym człowiekiem, a ograniczeni ludzie działali panu Joyce na nerwy. Z drugiej strony rozpacz dotkniętego nieszczęściem poczciwca działała na czułe struny jego serca, i pani Crosbie wiedziała, co robi, odwołując się do litości obrońcy nie dla siebie, lecz dla męża.

— Nie potrzebuję chyba panu tłumaczyć, że gdyby ten list dostał się do rąk prokuratorji, mielibyśmy poważny kłopot. Pańska żona dopuściła się kłam-

stwa, i zażądanoby od niej, żeby się z tego wytłumaczyła. Fakt, że Hammond nie dostał się do domu jako intruz, lecz przyjechał na specjalne zaproszenie, zmienia nieco postać rzeczy. W umysłach sędziów przysięgłych mogłoby powstać pewne wahanie.

Pan Joyce urwał. Znalazł się teraz twarz w twarz ze swojem postanowieniem. Gdyby okoliczności nadawały się do humorystycznego traktowania, mógłby uśmiechnąć się na myśl, że przedsiębrał tak ważny krok i że człowiek, dla którego to uczynił, nie zdawał sobie absolutnie sprawy z doniosłości tego kroku. Jeżeli się nad tem wogóle zastanowił, to pomyślał prawdopodobnie, że to, co czynił pan Joyce, było zwykłą prawniczą formalnością.

— Kochany panie Robercie, jesteś pan nietylko moim klientem, ale i przyjacielem. Sądzę, że musimy ten list wydostać. Będzie to pana kosztowało bardzo, bardzo dużo. Gdyby nie to, nicbym panu wogóle o tem nie wspominał.

— Ile?

— Dziesięć tysięcy dolarów.

— Szalona suma. Zważywszy na zniżkę cen i inne okoliczności, jest to prawie wszystko, co posiadam.

— Czy mógłby pan ją podnieść odrazu?

— Przypuszczam, że tak. Stary Charlie Meadows pozwoli mi ją podjąć na rachunek moich akcyj i udziałów w dwóch plantacjach.

— A więc pan to zrobi?

— Czy to bezwzględnie konieczne?

— Jeżeli pan chce, żeby żona została uniewinniona...

Crosbie spłonął purpurą, i usta obwisły mu w dziwny sposób.

— Ale...

Nie mógł znaleźć słów. Twarz miał poprostu czarną.

— Ale ja nie rozumiem. Ona się z tego usprawiedliwi. Czy to ma znaczyć, że uznaliby ją za winną? Nie mogliby jej powiesić za to, że uśmierciła szkodliwe bydlę.

— Naturalnie, żeby jej nie powiesili. Mogliby ją tylko uznać za winną zabójstwa. Zapłaciłaby za to prawdopodobnie dwoma lub trzema latami.

Crosbie zerwał się z krzesła, i jego purpurowa twarz wykrzywiła się oszalałą trwogą.

— Trzema latami?

I nagle w powoli działającym mózgu coś zaświtało. Głębokie ciemności rozdarła nagle błyskawica, i chociaż potem zapadły takie same ciemności, pozostało wspomnienie czegoś niewidzianego, a może tylko dostrzeżonego. Pan Joyce zauważył, że wielkie czerwone ręce Crosbie'go, stwardniałe i zniszczone od różnorodnych prac, drżą jak w febrze.

— Jaki to miał być prezent?

— Mówiła, że chciała panu podarować nową strzelbę.

Raz jeszcze czerwona twarz oblała się purpurą.

— Na którą panu potrzebne pieniądze?

W głosie plantatora zabrzmiał jakiś dziwny ton.

Mogło się zdawać, że niewidzialne ręce ściskają go za gardło.

— Na dziesiątą wieczorem. Możeby mi je pan przyniósł do biura o szóstej.

— Czy ta kobieta przyjdzie do pana?

— Nie, ja pójdę do niej.

— Przyniosę pieniądze. Pójdę z panem.

Pan Joyce spojrzał nań badawczo.

— Czy pan sądzi, że to konieczne? Lepiej będzie, jak sam to załatwię.

— Moje pieniądze, czy nie? Powiedziałem, że pójdę, to pójdę.

Pan Joyce wzruszył ramionami. Wstali i podali sobie ręce. Adwokat raz jeszcze popatrzył przenikliwie na swego klienta.

O dziesiątej spotkali się w pustym klubie.

— No i cóż? — zapytał pan Joyce.

— Mam pieniądze w kieszeni.

— Więc chodźmy.

Zeszli po schodach. Samochód adwokata czekał na nich na opustoszałym już placu. Gdy podchodzili do niego, z cienia domu wysunął się Ong Chi Seng i, zająwszy miejsce przy szoferze, udzielił mu wskazówek, którędy ma jechać. Minęli Hotel Europejski i koło Schroniska Marynarzy skręcili w ulicę Wiktorja. Chińskie sklepy były jeszcze pootwierane, roiło się od gapiów, a samochody i riksze nadawały jezdni wygląd dziennego ruchu. Nagle auto zatrzymało się, i aplikant zwrócił się twarzą do swego szefa.

— Lepiej będzie, jak już tutaj wysiądziemy — rzekł.

Wysiedli i poszli dalej pieszo, Chińczyk na przodzie, oni w odległości kilku kroków za nim. Po pewnej chwili poprosił ich, aby przystanęli.

— Pan mecenas będzie łaskaw poczekać. Pójdę uprzedzić mego przyjaciela.

Wszedł do sklepu, otwartego od ulicy, gdzie za kontuarem stało kilku Chińczyków. Był to jeden z tych dziwnych sklepów, w których nie widać żadnych towarów, i przechodzień zadaje sobie pytanie, co tam właściwie sprzedają. Ong Chi Seng wszczął rozmowę z tęgim osobnikiem w płóciennem ubraniu i wielkim złotym łańcuchu, przewieszonym przez piersi. Grubas zerknął w głąb ciemnej ulicy i dał młodzieńcowi klucz. Aplikant wyszedł na ulicę, skinął na czekających i wszyscy trzej weszli w bramę obok sklepu. Za bramą znaleźli się u stóp schodów.

— Proszę poczekać, zapalę zapałkę — rzekł Chińczyk. — A teraz proszę za mną.

Przyświecał japońską zapałką, która jednak nie rozpraszała ciemności, tak, że wspinali się wgórę pomacku. Na pierwszem piętrze otworzył drzwi i, wszedłszy do środka, zapalił gaz.

— Panowie pozwolą — rzekł.

Oczom dwóch Anglików przedstawił się mały, kwadratowy pokoik o jednem oknie, którego całe umeblowanie składało się z dwóch niskich chińskich łóżek, nakrytych matami. W jednym rogu stała wielka skrzynia, zaopatrzona w jakiś skomplikowany za-

mek, a na niej nędzna taca z fajką do opjum i lampa. W powietrzu unosił się słaby cierpki zapach narkotyku. Usiedli, i Ong Chi Seng poczęstował ich papierosami. Za chwilę drzwi otworzyły się, i wszedł gruby Chińczyk, którego widzieli za kontuarem. Pozdrowiwszy gości dobrą angielszczyzną, usiadł obok swego ziomka.

— Idzie kobieta, o której mówiłem — odezwał się Ong Chi Seng.

Chłopiec ze sklepu przyniósł na tacy imbryk i filiżanki, i Chińczyk poczęstował ich herbatą. Crosbie odmówił. Chińczycy rozmawiali półgłosem, biali — milczeli. Wkońcu za drzwiami rozległ się głos. Ktoś wstał pocichu. Chińczyk otworzył drzwi i, powiedziawszy kilka słów, wprowadził do pokoju oczekiwaną kobietę. Pan Joyce podniósł oczy. Dużo o niej słyszał od śmierci Hammonda, ale jej nigdy nie widział. Była to osoba, dość tęga, niebardzo młoda, o szerokiej flegmatycznej twarzy i brwiach w kształcie wąskich, czarnych kresek. Była upudrowana i uróżowana, ale robiła wrażenie kobiety z charakterem. Miała na sobie jasnoniebieski kaftan i białą spódnicę, a na nogach małe chińskie jedwabne pantofelki. Strój jej nie był ani całkowicie europejski, ani całkowicie chiński. Z szyi zwieszały się ciężkie złote łańcuchy, na rękach błyszczały złote bransoletki, w uszach — złote kolczyki, a w czarnych włosach — artystyczne złote szpilki. Weszła powolnym krokiem, z miną kobiety, pewnej siebie. Stąpała dość ciężko i niezgrabnie. Usiadła na łóżku obok Ong Chi Senga.

który coś do niej powiesdział. Skinęła głową i skierowała obojętne spojrzenie na dwóch białych.

— Czy ma list? — zapytał pan Joyce.

— Ma, panie!

Crosbie wydobył bez słowa zwitek pięćsetdolarowych banknotów. Przeliczył je i wręczył aplikantowi.

— Sprawdź pan, czy jest dwadzieścia.

Chi Seng przeliczył powtórnie banknoty i wręczył je zkolei tłustemu Chińczykowi.

— W porządku, panie.

Chińczyk powtórzył operację liczenia po raz trzeci i schował pieniądze do kieszeni. Odezwał się ponownie do kobiety, która wyciągnęła z zanadrza list. Chi Seng wziął go w rękę i obejrzał.

— To jest właśnie ten dokument, panie mecenasie — rzekł.

Pan Joyce i Crosbie wyciągnęli jednocześnie ręce po cenny list, który dostał się ostatniemu.

— Zobaczę, co to jest takiego — zauważył.

Adwokat obserwował go czytającego, poczem wyciągnął zkolei rękę.

— Niech pan mnie to odda.

Crosbie złożył wolno arkusik i schował go do kieszeni.

— Nie. Zachowam ten list dla siebie. Dosyć mnie kosztował.

Pan Joyce nie odpowiedział. Dwaj Chińczycy i Chinka przyglądali się temu incydentowi z niewzru-

szonemi twarzami, i trudno było zgadnąć, co o tem myślą i czy wogóle myślą. Adwokat wstał.

— Czy będę jeszcze dzisiaj panu mecenasowi potrzebny? — zapytał Ong Chi Seng.

— Już nie.

Wiedział, że aplikant pragnie zostać ze swoimi przyjaciółmi, aby odebrać umówioną część łupu, i zwrócił się do Crosbie'go.

— Możemy iść.

Crosbie powstał w milczeniu z łóżka. Gruby Chińczyk otworzył przed nimi drzwi. Chi Seng postarał się o kawałek świecy, którą poświecił im w przejściu, i obaj Chińczycy wyprowadzili gości na ulicę. Chinka siedziała na łóżku, kurząc apatycznie papierosa. Rozstawszy się z białymi, Chińczycy powrócili na górę.

— Co pan zamierza zrobić z tym listem? — zapytał pan Joyce.

— Zachowam go.

Doszli do miejsca, gdzie czekał samochód, i adwokat zaproponował przyjacielowi, że go podwiezie. Crosbie potrząsnął głową.

— Pójdę pieszo.

Zawahał się chwilkę i przestąpił niezręcznie z nogi na nogę.

— W dzień śmierci Hammonda pojechałem do Singapore poczęści w celu kupienia nowej strzelby, którą mój znajomy chciał odprzedać. Dobranoc!

Zniknął w ciemnościach.

Przewidywania pana Joyce okazały się słuszne.

Sąd przystąpił do rozprawy z powziętem zgóry postanowieniem uniewinnienia oskarżonej. Pani Crosbie zeznawała z prostotą i szczerością. Prokurator był dobrym człowiekiem i widać było, że w danych okolicznościach ciężko mu przychodzi wywiązać się z obowiązku. Niezbędne pytania zadawał w możliwie łagodny sposób. Mowa oskarżyciela brzmiała tak, jakby była mową obrońcy. Zastanowienie się nad wyrokiem zajęło sędziom przysięgłym mniej niż pięć minut czasu. Ogłoszenie go zaś wywołało wśród zebranej na sali publiczności istną burzę hałaśliwego entuzjazmu. Przewodniczący złożył życzenia pani Crosbie, która nareszcie była wolna.

Nikt nie potępiał gwałtowniej i surowiej postępku zmarłego, jak pani Joyce. Była ona kobietą, lojalną względem przyjaciół, i uparła się, aby państwo Crosbie po sprawie zatrzymali się u nich do chwili wyjazdu do siebie. Jak wogóle wszyscy, nie miała wątpliwości, że Leslie zostanie uniewinniona. Trudno było, żeby ta kochana, biedna, dzielna Leslie wracała do bungalowu, który był widownią okropnej katastrofy. Sprawa skończyła się o wpół do pierwszej. Z sądu pojechali wszyscy do domu Joyce'ów, gdzie czekał wspaniały lunch ze wspaniałemi cocktailami. Cocktaile pani Joyce sławne były na cały archipelag Malajski, i pani Joyce piła zdrowie Leslie. Była z natury żywa i rozmowna, a jeszcze przy tej okazji wpadła w nadzwyczajny humor. Na całe szczęście, bo reszta towarzystwa milczała. Nie dziwiło ją to bynajmniej. Mąż jej nigdy dużo nie mówił, a dwoje pozostałych

było, ma się rozumieć, pod wrażeniem ostatnich ciężkich przejść. Przez cały czas lunchu pani domu monologowała wesoło i z ożywieniem.

Podano kawę.

— A teraz, dzieci — rzekła, trzepocąc się jak ptak — musicie odpocząć. Potem po herbacie zawiozę was autem nad morze.

Pan Joyce, który był w domu na lunchu tylko w drodze wyjątku, musiał naturalnie wracać do biura.

— Niestety, nie będę mógł skorzystać z zaproszenia pani mecenasowej — odezwał się Crosbie. — Jestem zmuszony wracać zaraz na plantację.

— Chyba nie dzisiaj? — krzyknęła.

— Odrazu, teraz. Zaniedbałem swoje sprawy i mam do załatwienia naglący interes. Ale będę bardzo wdzięczny, jeżeli państwo zatrzymają Leslie, dopóki nie poweźmiemy jakiej decyzji.

Pani Joyce chciała zaprotestować, ale mąż nie dopuścił jej do słowa.

— Daj pokój. Mus to mus.

W głosie pana domu zabrzmiała taka dziwna nuta, że żona spojrzała na niego badawczym wzrokiem i umilkła. Przez chwilę panowało milczenie, poczem odezwał się Crosbie:

— Jeżeli państwo pozwolą, to wyruszę odrazu, żeby zdążyć przed zmierzchem.

Wstał od stołu.

— Leslie, może mnie odprowadzisz?

— Ależ naturalnie.

Wyszli razem z jadalni.

— Jaki on nieuprzejmy — zauważyła pani Joyce. — Powinien rozumieć, że Leslie pragnęłaby go teraz mieć przy sobie.

— Jestem pewny, że nie odjeżdżałby, gdyby to nie było bezwzględnie konieczne.

— Pójdę zobaczyć, czy pokój dla Leslie już jest gotowy. Biedaczka musi teraz wypocząć, a potem trzeba będzie pomyśleć, żeby się rozerwała.

Pani Joyce opuściła pokój, a mąż jej usiadł zpowrotem przy stole. Niebawem usłyszał odgłos kroków po wyżwirowanej ścieżce ogrodu, a potem warczenie motocykla. Wstał i wyszedł do salonu. Na środku stała pani Crosbie z otwartym listem w ręku, ze wzrokiem, utkwionym w przestrzeń. Poznał list. Obróciła ku niemu twarz, i zobaczył, że jest śmiertelnie blada.

— Wie — szepnęła.

Pan Joyce podszedł do niej i wyjął jej list z ręki, poczem, zapaliwszy zapałkę, przytknął ją do papieru. Buchnął płomień. Gdy dopaliło się do brzegu, rzucił zwęglone resztki na posadzkę, i oboje patrzyli na dogasające iskry. Wkońcu postawił nogę na spopielałych szczątkach i rozdeptał je na proch.

— O czem wie?

Popatrzyła nań długo i przeciągle, i w oczach jej zamigotał dziwny wyraz. Pogarda, a może rozpacz? Trudno było orzec. Przez chwilę milczała.

— Wie, że Geoffrey był moim kochankiem.

Pan Joyce nie poruszył się i nie wydał żadnego dźwięku.

— Był nim przez cały szereg lat. Zaczęło się to prawie odrazu, jak tylko wrócił z wojny. Wiedzieliśmy, że musimy się zachowywać nadzwyczaj ostrożnie. Kiedy zostaliśmy kochankami, zaczęłam udawać, że mnie jego towarzystwo nudzi, tak, że odtąd rzadko u nas bywał. Jeździłam w umówione miejsce dwa, trzy razy na tydzień, i tam się spotykaliśmy. W razie nieobecności Roberta, który jeździł często do Singapore, Geoffrey przyjeżdżał do mnie do bungalowu wieczorami, kiedy służba już spała. Widywaliśmy się bezustannie, i nikt się tego nie domyślał, nikt nie podejrzewał. Później, począwszy od jakiegoś roku Geoffrey zaczął się zmieniać. Nie wiedziałam, czemu to przypisać. W głowie mi się nie chciało pomieścić, że mógł mnie przestać kochać. Twierdził, że nie. Szalałam. Robiłam mu sceny. Czasami zdawało mi się, że mnie nienawidzi. O, żeby pan wiedział, co przeszłam za męczarnie! Przeszłam przez piekło! Wiedziałam, że mu zobojętniałam, a nie chciałam go opuścić. O, Boże! Boże! Kochałam go. Wszystkiegobym się dla niego wyrzekła. Był dla mnie wszystkiem, całą treścią życia. Nagle doszły mnie wieści, że żyje z Chinką. Nie mogłam temu uwierzyć. Nie chciałam temu uwierzyć. Wkońcu zobaczyłam ją, zobaczyłam moją rywalkę na własne oczy. Szła przez wioskę. Stara, tłusta Chinka, obwieszona złotemi bransoletami i naszyjnikami. Starsza ode mnie! Okropność! W kampongu wszyscy wiedzieli, że to jego kochanka. Kiedyśmy się mijały, spojrzała na mnie i zrozumiałam, że wie, że i ja także jestem jego kochanką. Posłałam

po niego. Napisałam, że muszę się koniecznie z nim widzieć. Czytał pan list. Szalona byłam, że go napisałam. Nie wiedziałam sama, co robię. Wszystko mi było jedno. Nie widziałam go przez dziesięć dni. Te dziesięć dni to było dla mnie dziesięć wieków. Przy ostatniem rozstaniu wziął mnie w ramiona i powiedział, że nie mam się czego dręczyć I... poszedł prosto w jej ramiona.

Mówiła zniżonym, gwałtownym głosem. Nagle urwała i załamała ręce.

— Ten przeklęty list! Zawsze byliśmy tacy ostrożni! Wszystkie moje listy i bilety niszczył zaraz po przeczytaniu. Skąd mi mogło przyjść do głowy, że ten jeden zachowa? Przyjechał. Powiedziałam mu, że wiem o Chince. Zaprzeczył. Przysiągł, że to tylko plotki. Straciłam panowanie nad sobą. Nie wiem, co mu odpowiedziałam. Och, jakże go wtedy nienawidziłam! Obrzuciłam go potokiem wyrzutów. Powiedziałam mu wszystko, co tylko wiedziałam o nim najgorszego, aby go zranić. Zasypałam go obelgami. O mało nie plunęłam mu w twarz. I wkońcu stracił i on panowanie nad sobą. Powiedział mi, że zbrzydłam mu i spowszedniałam i że nie chce mnie więcej widzieć. Powiedział, że znudziłam mu się na śmierć. I przyznał się, że to o Chince to była prawda. Powiedział, że znał ją na całe lata przed wojną i że była ona jedyną kobietą, która go naprawdę obchodziła. Wszystkie inne romanse traktował jako rozrywkę. Dodał, że rad jest, że się o tem dowiedziałam i że mu nareszcie dam święty spokój. I wtedy

nie wiem, co się stało. Byłam nieprzytomna z gniewu, oczy zachodziły mi mgłą. Porwałam rewolwer i strzeliłam. Krzyknął, trafiony, zachwiał się i wybiegł na werandę. Pobiegłam za nim i dałam drugi strzał. Runął na ziemię. Stanęłam nad nim i strzelałam, dopóki mi starczyło nabojów.

Umilkła, zadyszana. Twarz jej, wykrzywiona okrucieństwem, wściekłością i bólem, wyglądała poprostu nieludzko. Niktby się nigdy nie domyślił, że ta spokojna, wytworna kobieta zdolna była do tak straszliwej pasji. Pan Joyce cofnął się o krok wtył. Ogarnęło go przerażenie. Nie była to już twarz, ale jakaś okropna, bełkocąca maska.

Z drugiego pokoju rozległ się przyjacielski, wesoły, donośny głos pani Joyce.

— Leslie, kochanie, chodź już! Pokój gotowy. Musisz upadać ze znużenia.

Rysy pani Crosbie uspokoiły się stopniowo. Burzliwe namiętności, wypisane tak wyraźnie na jej twarzy, znikły niby zgięcia papieru pod gorącem żelazkiem, i po chwili twarz ta była cicha, spokojna i gładka, jak zwykle. Usta złożyły się w sympatyczny, miły uśmiech, i tylko lekka bladość świadczyła o przebytem wstrząśnieniu.

Pan Joyce ujrzał przed sobą ponownie elegancką, nawet dystyngowaną kobietę, którą znał od wielu lat.

— Idę, Doruś! Przykro mi bardzo, że narobiłam ci tyle kłopotu.

PRZYPISEK

Z wyjątkiem Singapore, miasta, zbyt pochłoniętego swemi sprawami, aby mogło przejmować się drobnostkami, dla wszystkich miejscowości, w których rozgrywa się akcja niniejszych opowiadań, zostały wymyślone imaginacyjne nazwy. Mieszkańcy mniejszych osiedli w krajach, położonych nad brzegami morza Chińskiego, są bardzo wrażliwi i drażliwi i czują się bardzo dotknięci, jeżeli w książce, będącej wytworem wyobraźni, środowisko ich nie przedstawi się w zbyt dodatnich barwach. Boją się opinji prowincjonalnej i surowego sądu swoich kuzynów i ciotek.

Podróżnik zdumiewa się nieraz, że Anglicy, którzy przepędzają większą część życia na rozległym Wschodzie, przywiązują tak wielką wagę do plotek prowincjonalnych swej dalekiej ojczyzny i że wyprawiają się, przypuśćmy, na Celebes poto tylko, żeby się znaleźć w Bedford Parku.

Jako ludzie praktyczni, pochłonięci po większej części tylko praktycznemi sprawami, nie są zdolni przypisywać autorowi pewnej wyobraźni i, wiedząc,

że przebywał w tem lub w tem miejscu i poznał się z tymi lub z tymi ludźmi, wyprowadzają stąd nagły wniosek, że stworzone przez niego postacie są ni mniej, ni więcej tylko ich żywemi portretami.

Żyjąc w sercu Wschodu ciasnem życiem małego angielskiego miasteczka, posiadają wszystkie wady i usterki mieszkańców prowincji i doznają złośliwej przyjemności, gdy im się uda znaleźć domniemany oryginał bohatera fikcji, zwłaszcza zaś, jeżeli ten bohater jest typem, zasadniczo ujemnym. Nie są oczytani, nie rozumieją wymagań sztuki pisarskiej i nie rozumieją, że cechy bohaterów beletrystyki są w przyczynowym związku z intrygą. Nigdy też nie przyjdzie im do głowy, że rzeczywiste osoby są zbyt mgliste i niewyraźne, aby móc służyć za żywe wzory w dziele, będącem tworem wyobraźni.

Żywych ludzi widujemy tylko w dwóch wymiarach niejako na płasko. Fikcja wymaga, aby zostali oni przedstawieni w przestrzeni, we wszystkich wymiarach, pod wszystkiemi kątami widzenia. Aby stworzyć żywą osobę, trzeba czerpać dane z wielu źródeł i zestawiać je umiejętnie w logiczną, organiczną całość.

Czytelnik, zajmujący się lekturą dla zabicia czasu bez najmniejszej dla siebie korzyści, dopatruje się w którymś z bohaterów jakiejś cechy fizycznej czy umysłowej, właściwej znanej mu osobie, o której wie, że ją autor spotkał, i w swej niemądrej naiwności dochodzi do przekonania, że owa osoba została żywcem sportretowana.

Utwór beletrystyki — sądzę, że nie przeszarżuję zanadto, jeżeli to określenie uogólnię i powiem: dzieło sztuki — otóż dzieło sztuki jest amalgamatem faktów z doświadczenia autora i idjosynkrazji jego własnej osobowości. Nie jest prawdopodobne, aby pokryło się ono kiedy z życiem, a gdyby się nawet tak zdarzyło, to nie miałoby to żadnego znaczenia. Jeden grecki rzeźbiarz dał posągowi kobiety po sześć palców u nóg, a uczynił to niewątpliwie w celu nadania większej wysmukłości jej stopom.

Fakty są kanwą, na której artysta haftuje wymyślne wzory. Na tej podstawie twierdzę, że bohaterowie niniejszych opowiadań są tworami wyobraźni, ale ponieważ fabuła jednego z nich p. t.: „Kropla malajskiej krwi" miała swe źródło w wypadku, który mnie spotkał osobiście, przeto jestem zmuszony zaznaczyć, że nie robię w niem żadnych aluzyj do towarzyszów owej niebezpiecznej przygody.

KONIEC

„DRUKARNIA BANKOWA", W-WA, MONIUSZKI 11